

RAWA – DWA AKTY DRAMATU

(Patrz str. 5)



FALSZERZE

Celownik ma wciąż pecha
Bo za mało podły jest,
Lecz to piękna cecha
Ze go stać na pest.

(Z pieśni o znikomości wszelkich poczynań ludzkich).

I.

Popelnili przestępstwo. Nie żoby nożem, siekierą albo pałką rozkładać kobietę z czworogiem dzieci na podstawowe cząstki anatomiczne. Nie. Było to zwykłe niehonorowe przestępstwo na razie, mniejsza o to jakie, „na” — jak powiadają przekupki — trzy do pięciu lat więzienia z utratą praw obywatelskich i honorowych.

Dlaczego popelnili przestępstwo? Gdyby byli bardzo biedni powiedziałbym: z nędzy. Gdyby byli bardzo bogaci: z nudów. A oni nie są ani bardzo biedni, ani bardzo bogaci. Więc dlaczego? Nie wiem. Może popelnili je właśnie dlatego, że nie wiedzieli. Powiedzieli sobie — zróbmy to, może potem dowiemy się dlaczego zrobiliśmy. Bo i ludzie pomagają i sąd. Najpewniej było właśnie tak.

Gdzie utonęło śrebko,
Tam musiała być woda.

(Stare przysłowie)

II.

Akt sprawy zebrały się tomy cztery. Sierżanci MO zapodawali w nich, że obwinieni robili różne rzeczy. Kiedy akta zaczęły być, jednocześnie skończyło się działanie paczki. Moment ten obrazowo wyglądał tak: Szum wszedł do urzędu pocztowego. Urzędniczka powiedziała: — chwilczkę, wyszła, wróciła z kierownikiem. Kierownik też powiedział: chwilczkę, a po chwilczce milicjant zabrali Szum. Głupi Szum nie dał w porę w nogi. Po był epilog życia naszej paczki. A prolog? Prologu nie podają akta czyli opowieść rzeka, w której dzieje się nie po kolei. Traktują one o czynach. Nie o myślach. Zasię na początku była myśl.

Szumowi w czasie rewizji osobistej zabierają własny dowód, a w czasie domowej: świadectwo dojrzałości na nazwisko Nowak, ubranie i sutannę.

Potem biorą innych. Z ulicy. Kamionka na ulicy odpycha milicjanta i ucieka. Milicjant strzela w górę. Kamionka ucieka. Potem milicjant to wydarzenie raportuje, a Kamionkę który w międzyczasie wrócił do domu ojciec doprowadza na komisariat.

Biorą Kujawę, Polaka, Wójcika, Podsiadę, Kubiaka.

Nie, Polaka wzięli dopiero potem. Od kuzyna, z prowincji.

Akta otwiera właśnie to wszystko. A kończy spis: dziesięciu oskarżonych i pięćdziesięciu dwóch świadków.

Barżo to poczciwi ludzie
Pod warunkiem, by żadnemu
Nie przeszkodził w walce o to
Co odebrać chce innemu.

(Pieśńka prezydenta policji)

III.

Kamionka miał srogiego ojca i antytalent do nauki. Kujawa miał talent do matematyki i dużo wolnego czasu. Gdzieś tam zrodziła się właśnie myśl.

Potem było włamanie do szkoły. Zginęły pieczęcie, blankiety świadectw szkolnych, legitymacje i coś tam jeszcze.

Kamionka miał więc już świadectwo do następnej klasy. Jego ojciec lepszy humor. Kujawa mnogość kancelaryjnego dobra.

Ludzie mają wrodzony pęd do użytkowania rzeczy zgodnie z ich przeznaczeniem. Wojny robi się z armat. Świadectwa z blankietów.

Kamionka możnolnie wspina się ku maturze i wciąż osiada w tej samej klasie. W takich razach pociech o maturze urasta i wzrasta wraz z marzeniami o niej. W kawałkach skradzionego papieru leży magiczna moc udzielania maturalnego szczęścia. W takiej sytuacji być własnym udzielania matur — duża frajda.

Wpiewać stalszowane świadectwa dojrzałości daje się darmo. Wreż wypycha w rękę np. dziewczynie Kujawy Alinie B. Potem...

Wytwórnia matur i świadectw musi mieć jakiś sens. Działanie musi być uzasadnione przed samym sobą. Najprostszym uzasadnieniem ludzkich poczynań są pieniądze.

Nadchodzi czas szukania nabywców na świadectwa, zaświadczenia, legitymacje. Wpływają mizerne pieniądze.

Pieniądz uzyskany przestaje być pretekstem, uzasadnieniem czynu. Staje się wartością samą w sobie.

Wszystko się pomyślnie kończy
I wygląda się wyraźnie,
Było tylko była forsą,
Koniec dobry jest przeważnie.

(Film za trzy grosze)

IV.

Rewizja na wsi u rodziców Kujawy. Wynik — bańka na mleko a w bańce: gumowe kraszki, imitujące pieczętki pocztowe z zarysem dat i numerów urzędów, sztanca z ołowiu!

Dokończenie na str. 3

Odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

13

Rok I. Łódź, 25 maja 1958 r. Cena 1 zł nr

JÓZEF LEBENBAUM

QUO VADIS FRANCJO?

Francję od dawna już nazywano „chorym człowiekiem w Europie”. Ten „chory człowiek” mimo zwycięstwa w drugiej wojnie światowej nie mógł stanąć na nogi, odzyskać kwitnącego dawniej zdrowia. Opanowywał go powolny bezwład, a kolejni lekarze aplikowali mu jedynie środki znieczulające, a nie uzdrawiające.

Rozwinięty system parlamentarny, który stanowił dumę wszystkich Francuzów i był wzorcem zachodniej demokracji przechodził ostry kryzys.

W świecie zachodnim, w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, w NRF, we Włoszech, w wielu innych krajach ukształtował się bądź to system dwupartyjny, bądź to system, opierający się na mniej czy bardziej dobitnej przewadze jednej partii w parlamencie. We Francji lata powojenne były okresem dalszego rozdrobienia sił politycznych. Obecnie we francuskim parlamencie zasiadają przedstawiciele 14 partii. Każda z nich ma odrębny program. Największa partia Francji — Partia Komunistyczna, dysponująca 142 mandatami poselskimi w parlamencie, jest niestety, na tym forum izolowana. I to przez wszystkie pozostałe partie, nie wyłączając socjalistów. Warto tu przypomnieć, że bojkotowani słusznie poujadysci, partia faszystowskiego mieszczaństwa, liczy 50 posłów. Tak więc parlament, który składa się z 640 miejsc, faktycznie daje każdej koalicji rządowej możliwość lawirowania w ramach 400 kilkudziesięciu głosów poselskich.

12 skłóconych między sobą partii i ugrupowań rodu w bólach kolejne rządy koalicyjne, skazane na bezwład już w chwili porodu. Wystarczy bowiem, gdy jedna z większych partii — z tych czy innych powodów — odmówi poparcia rządowi — rząd upada. Nic więc dziwnego, że kolejni premierzy czynią wszystko, aby nie czynić, aby utrzymać się na fali wydarzeń, zamiast je kształtować. Tego rodzaju gra polityczna zamienia polityków jedynie w zręcznych graczy i prowadzi wreszcie do znużenia i obojętności społeczeństwa.

Jak już wspomnieliśmy, kolejne rządy francuskie nie zajmowały się energicznym działaniem na burzliwych falach powojennego świata. Kolejni premierzy, tak zręczni w prowadzeniu gry politycznej, nie wyczuli biegu historii ani jej perspektyw. Światowego rozkładu kolonializmu, którego się zrozumiała i doceniła stara Anglia, nie rozumiała Francja. Miast uczynić, wzorem Anglii, wszystko, by pozostał w jak najtrwalszej więzi ze swymi byłymi koloniami, Francja zdecydowała rzucić siłę swojego oręża wprost przeciw historii.

Siedmioletnia wojna w Indochinach, zakończona kł-

ską pod Dien-Bien-Fu była tragiczną lekcją, z której Francja nie umiała wyciągnąć wniosków. Przyszedł Alger i znów pół miliona francuskich żołnierzy broni, tym razem na afrykańskiej ziemi, kolonialnych interesów francuskiego imperium. Te dwie wojny skompromitowały Francję, doprowadziły ją na skraj ekonomicznego wyczerpania i faktycznie odcięły od możliwości decydowania o losach Europy.

W sprawach europejskich Francja zależna od swych sojuszników, skuta w klamry Paktu Atlantycznego, umożliwiła Niemieckiej Republice Federalnej zajęcie pierwszego miejsca wśród państw na zachodnio-europejskim kontynencie.

Przestraszony komunizmem kapitał francuski dał swój placet na Bundeswehre, na niemieckich generałów w Paryżu, na bombę atomową i na rakiety dla zachodnio-niemieckich armii. „Chory człowiek”, który w minionej wojnie był jednym ze zwycięzców nad Niemcami hitlerowskimi, w roku 1958 otrzymał od pokonanych Niemiec pożyczkę w wysokości 100 mln. dolarów. Poniżająca wymowa tego faktu nie wymaga chyba dodatkowego komentarza.

Dla każdego człowieka we Francji i poza nią stawało się jasne, że taki stan rzeczy nie może trwać wiecznie. Komunistyczna Partia Francji, która w ubiegłych wyborach otrzymała 27 proc. głosów, nawoływała do utworzenia rządu lewicy, jedynej trwałego republikańskiego rządu, który może powstać we Francji. Komuniści, socjaliści i radykałowie mogliby utworzyć rząd o trwałej większości parlamentarnej, ale ani socjaliści ani radykałowie nie poszli na sojusz z komunistami.

Słabość lewicy wykorzystana prawica. Tak się to już zawsze dzieje. Skrajna prawica przejęła rządy silnej ręki. I coraz głośniejsze mówiło o generale de Gaulle, który mógłby swym autorytetem zdobyłym w Ruchu Oporu, i „silną ręką” uratować Francję. Prawica zarzuciła rządowi, że nie wysłał się, aby zdławić powstanie w Algierze. Upadały kolejne gabinety. Przed miesiącem upadł rząd radykała Gaillarda. Trzy tygodnie trwała we Francji nerwowa krzątanina wokół kandydatury nowego premiera i znalezienia jako takiej większości parlamentar-

nej. Krzątanina ta przerwana została bardzo gwałtownie. Dowódca francuskich skoczków spadochronowych gen. Massu stanął na czele puczu wojskowego w Algierze. Powstał „Komitet Ocalenia Publicznego” w Algierze, który odmówił posłuszeństwa rządowi w metropolii. „Komitet Ocalenia Publicznego” postawił parlamentowi ultimatum: albo rząd ocalenia z generałem de Gaullem na czele, albo tragiczne rozdziarcie narodu francuskiego. Jednocześnie w metropolii rozpuściły się manifestacje zwolenników gen. de Gaulle. Przeciwdziałając się temu parlament udzielił inwestytury Pflimlinowi. Gen. de Gaulle przybył do Paryża i oświadczył, że jest gotów objąć władzę z woli narodu.

(Dalszy ciąg na str. 4)

Jubileusz Stanisława Czernika



Foto Dorys

Stanisław Czerniak obchodził w tych dniach trzydziestopięcioletnie jubileusz pracy literackiej. Pisarz został odznaczony Orderem Odrodzenia Polski. Po wojnie wydał: „Siedem noc” i „Z trzydziestu lat” (poezje); „Bezprym” i „Baleer Susło” (twory dramatyczne); powieści: „Smolarnia nad Bobrową Wodą”, „Opowieść o Klemensie Janiekim”, „Wór pszenicy”, „Uniwersał Czarnieckiego”, „Wierne kosy”, „Wileze doly”, „Wichura” oraz „Cienie różowych gór” i „Ucieczka z Czernosza” (wspomnienia). Czerniak jest także autorem prac z zakresu badania ludowej twórczości. Redakcja „Odgłosów” składa Jubilatowi życzenia dalszej owocnej pracy.

JESZCZE O PRAOJCACH Z GĘSLAMI

numerze 9 „Odgłosów” umieściłem notatkę felietonową „Prajcowie z gęslami”. Wobec zbliżającego się milenium chciałem przypomnieć bardzo ciekawe źródło do pradawnych dziejów Polski: „cudowną” opowieść historyka bizantyjskiego Teofylakta Simokattesasa o trzech wędrowcach słowiańskich w obozie cesarskim w 595 roku.

Wobec zbliżającego się milenium chciałem przypomnieć bardzo ciekawe źródło do pradawnych dziejów Polski: „cudowną” opowieść historyka bizantyjskiego Teofylakta Simokattesasa o trzech wędrowcach słowiańskich w obozie cesarskim w 595 roku.

Nie mieszałem się do polemiki Nowickiego z Simokattesa na temat żelaza w Polsce przedhistorycznej. Ograniczam się do problemów będących bezpośrednim przedmiotem sporu między Nowickim a mną.

„Dowodów” przytoczonych przez Nowickiego są jednak podobnego typu, jak aperitif w garnkach prasłowiańskich.

Pierwszy „dowód”: „Dla odwiedzających muzea nie jest żadną tajemnicą, że współczesny mężczyzna nie wciągnie na siebie wczesnośrednio-wiecznej zbroi, będzie ona dlań za mała”.



ZBIGNIEW NOWICKI

JESZCZE O PRAOJCACH Z TOPORAMI

Spór: gęśle czy topory, rozstrzygnięte w przyszłym tygodniu na łamach „Odgłosów” mgr J. Kmiecicki, adiunkt Zakładu Archeologii Polski U. Ł.

Czytelnicy mają doskonałą zabawę, obydwie bowiem polemizujące strony wędrują przez szpalty czasopisma na szczudłach cytatów, które często mają to do siebie, że są za krótkie lub za długie, polemiści podskakują na nich, podrygują, radując oko czytelnika.

W 1952 roku wydano książkę pt. „Greccie i łacińskie źródła do najstarszych słowian (Część I. Poznań—Kraków)”, gdzie co krok napotyka się — a są to przecież materiały autentyczne, relacje historyków sprzed wieków — najbardziej skrajne poglądy o naszych protoplastach. Uważałem za niesłuszne, że p. Stanisław Czernik wybrał spośród rozlicznych opinii dawnych historyków — akurat Simokattesa, który rysuje naszych protoplastów jako ludzi nie znających żelaza, nie znających wojny, ludzi gęśli.

Właśnie, proszę państwa, żart. Tym większa zatem szkoda, że uśmiechnąwszy się z taką powagą i marsem Adwersarz mój wojuje z żartem.

Cytatów wybrać da się bez liku. Czy zawsze i za wszelką cenę należy im ufać? Czy można na przykład zaufać Herodotowi, gdy wspomina o plemienu Neurów, którzy pono zamieszkiwali na północno zachód od dzisiejszego Wołynia i Podola.

„Dowodów” przytoczonych przez Nowickiego są jednak podobnego typu, jak aperitif w garnkach prasłowiańskich. Pierwszy „dowód”: „Dla odwiedzających muzea nie jest żadną tajemnicą, że współczesny mężczyzna nie wciągnie na siebie wczesnośrednio-wiecznej zbroi, będzie ona dlań za mała”.

„Dowodów” przytoczonych przez Nowickiego są jednak podobnego typu, jak aperitif w garnkach prasłowiańskich. Pierwszy „dowód”: „Dla odwiedzających muzea nie jest żadną tajemnicą, że współczesny mężczyzna nie wciągnie na siebie wczesnośrednio-wiecznej zbroi, będzie ona dlań za mała”.

Tak wygląda próba „polemiki”, której inicjator chciał zawstydić Herodota, Simokattesa i... mnie.

BIEL(mo) NA OKU



MOTTO: „...Trzeba do nich przyjąć z konkretnym programem działania”...

Ciągle słyszę głosy (zupelnie jak św. Bernadetta): „Belfrze, Belfrze, ty ciągle o małych sprawach ziemskich, powiedz co słychać w Górzel”.

Pan Bóg poglądził brodę, pomyślał i rzekł: — Mój synu, skoro ty czytasz i czytasz i nie nie rozumiesz co czytasz, to ty lepiej nie czytaj, tylko pisz.

Tak też się stało. A stało się to w „Dzienniku Łódzkim” dnia 14 maja 1958. I nosiło tytuł „Belfer, brodacze i naga kobieta”.

Biedny BIEL czytał Belfra, czytał i nie nie rozumiał. To jest sprawa oczywista, rzecz można wyjaśnić między nim a Panem Bogiem. Gorzej, że BIEL czytał to, a wyczytał zupełnie

co innego. I tu kłopot, bo rozdzielenia jaźni, stany maniackalne, halucynacyjne i im podobne nie znajdują się już w panaboskiej kompetencji.

Belfra zafrapowało zjawisko nietolerancji dla innych postaw, objawiane przez reprezentantów brodatego światopoglądu.

BIEL jest radosny. Rozprawiwszy się z Belfrem za to, że ten wzywa do wymordowania brodaczy, wyjechał z procesem norymberskim na zasadzie zoologicznych skojarzeń, że jeżeli mordować, to coś w norymberskim kościele dzwonił, strzyknął ni stąd ni zowąd wazeliną w kierunku tow. Michałyny Tatarówny i ryknął (a propos rucania na brodaczy bomb atomowych?): „Nie tędy droga, mój Belferze”.

Od tego miejsca BIEL rozpoczął własną działalność ideolo-polityczno-ustawiającą. Ze trzeba młodzieży „ukazać konkretne wniosłe cele i jasno wytknięte drogi do nich prowadzące”.

I dalej, że idealy, mobilizować, porwać, patosem czy-

ny, przyciągać, zdobywać itd. itd. czyli różne rzeczy zaczerpnięte z programu ja-kiegos kiepskiego teatryku satyrycznego, uparcie wy-kpiwającego „relikty minio-nego okresu”.

Od tego więc dnia Belfer jako jednostka niestrudzona w szeregach oświaty nawet wśród osobników ciężko my-słających, pisac będzie i e-le-tons w wersjach dwóch, dla „Odgłosów” do druku i dla p. BIELA w przyszłym streszczeniu dostosowanym dla obywateli w wieku przedszkolnym („Piwnicka leży głęboko. W piwnice są tacy panowie z błodami i bez. Błoda to są takie włoski co rosna na buzi itd.”).

Jednakże nie chciałbym, gwoli sprawiedliwości (że wróć do BIELA) obarczać go pełnym autorstwem za z-warte w jego dziele zwroty. Cześć myśli, okrzyków i ha-sel zapożyczona została, jak po zmudnych badaniach stwierdziłem, z dorobku teo-retycznego cytowanego na wstępie a znanego ideologa. Bo stara acz aktualną praw-dą jest, iż w Polsce winni są wszystkiemu cyklisi i quasi publicyści.

Oto co rzec chciałem inauguru-jąc specjalnie dla p. BIELA przedszkolny kurs „Naszej szkółki”.



BELFER

BELFER

NASZA SZKOŁKA

Redakcja „Dziennika” drukując felieton BIELA zaakceptowała nie tylko za-warte w nim insynuacje, Mi-mowoli, ale przyklasnęła pew-nym tendencjom, choć wy-rażonym w sposób komiczny, to jednak jakoś tam w fe-lietonie „Belfer, brodacze i naga kobieta” (gdzie jest ta naga kobieta, gdzie?) prze-wijającym się. Wspominane poglądy stanowią zlepek dwóch naleciałości: wpływu lat ostatnich, z których to niefortunny autor wyniósł prymitywną naukę, że wie-szanie i pokrzykiwanie to faj i be be, i wpływu lat daw-niejszych, które wykształciły w BIELU przekonanie, że młodzież to jest taka rzecz, taki widz, któremu pokazywać trzeba „wniosłe cele i jasne drogi”, „przycią-gać i zdobywać”, że młod-zież trzeba „ukazywać sens życia i walki o i-dealy”, „porwać patosem czynu” itd. Brak tu tylko z-rebów, wyrębów, żarów i świetlaności.

„Dziennik” zapominał jak-rowie zaliczani są w nauce do ludów słowiańskich, może znajduje się ktoś, kto spró-buje udowodnić nasze „wil-kołackie” pochodzenie? Czy znaczy to, że lekce-ważę Heroda? Nie. Ale przecież p. Czernik jako autor interesujących po-wieści historycznych chyba najlepiej wie, że dawni hi-storycy i kronikarze z równą powagą notowali mity, baś-nie, legendy, zastyszane gdzieś z boku wiadomości, i zamieszczali je tuż obok rze-czywistych faktów historycznych i że trzeba do nich podchodzić krytycznie, od-rzuczać to, co się z bajek

by lekcji, iż nie masz gro-zniejszej dydaktyki jak fra-zesowa, nie masz niczego, co rodzi gorzej, odwrotne od zamierzonych skutki i to na-wet wtedy, kiedy frazes i tram-tadacja posiada intelli-gentniejszą od BIEL-owej formę.

Mamy już za sobą, na szczście, wielkie żary, uto-pie i fanatyzmy zarówno w te jak i wefte. Zarówno w dziedzinie „robienia błędów i wypaczeń” jak i „likwidowania błędów i wypaczeń”. Stolny u progmu kształtowa-nia trzeciego pokolenia, lu-dzi, u których liczą się fak-ty, fakty i tylko fakty, wszystko z nich wynika i jest przetwarzane w tygłu myślenia sprzęgniętego z kryty-cyzmem. Nie ma powrotu do mobilizowania, wytkniętych dróg i patosów.

Albowiem sprawa socjalizmu przestała być wśród młodych kwestią odruchową, emo-cjonalną. Stała się kwestią in-telektualną, czymś stałe są-dzonym, ważonym, obserwo-wanym i wartościowanym.

Jednym taką postawa podoba się, innym z gruntu nie podoba, jeszcze inni przyzna-ją jej i ujemne i dodatnie strony.

Jedno wszelako jest bez-sporne: tak jest i kwita. Nie widzieć tego, nie liczyć się z tym, chcieć przysługiwać się sprawie socjalistycznego w-chowania nie własną orygi-nalną myślą, lecz wytartym, formułkami i zwroctkami, które przez lata całe tak ł-dnie się z principiami bez-myślnie kojarzyły, znaczy lekko-myślnie wypuszczać w świat gazetę z BIELmem na oku i na kolumnie.

OSWIADCZENIE

Po zapoznaniu się z treścią i formą powyższego felietonu kol. Belfra, aczkolwiek także potraktowany przez BIELA, wstrzymuję się od wszelkiej z nim polemiki. Oczywiście ze względu na czysto ludzkich.

EDWARD ETLER





(Dokończenie ze str. 1)

orzłek wycięty z pięciogroszówki, legitymacje, recepty, pieczątki lekarskie i szkolne, dziecięca drukarenka, przybory rozmaite. Wreszcie podrobione zaproszenia na bal sylwestrowy i list do kina z prośbą... o sprzedaż 2 biletów.

Dowody rzeczowe spotykają się w milicyjnych tękach z pismami PKO do Komendy MO: fałszywe noszący cudze nazwiska: Bernasiak, Szyszkowski, Pogonowski — podejmowali pieniądze w opraciu o fałszowane wpisy wkładów.

Ludzie o tych nazwiskach już zeznawali, Szczecinie, Łodzi, Gdańsku. Akta nie zawierają historii życia tych ludzi, bo historie życia ich dowodów osobistych były o wiele ciekawsze.

Pogonowski poznał u znajomych w Łodzi niejaką Danutę. Danuta zasmakowała w nowej znajomości. Wzięła więc jego dowód osobisty, jako gwarancję wypełnienia obietnicy, że ją odwiedzi. Danutę zna Nykiel, Kradnie dowód.

Pogonowski po kilku miesiącach energicznie upomina się o zwrot dokumentu. Dowód wraca do właściciela z oderwanym zdjęciem.

Irena Bernasiak jedzie pociągiem. Ktoś ze współpasażerów bucha jej dowód z torbki. Odtąd zaczyna on bujne życie jako własność „Bernasiak Ireneusza”.

Sobolewski zostaje zatrzymany przez MO, gdyż na jego nazwisko wydłużono z PKO tysiąc złotych. Ale Sobolewski ma alibi. Nie dla siebie — dla dowodu osobistego. Pozostawił dokument jako zastaw w warsztacie ślusarskim p. Marszala seniora. Gwizdnął go Marszał junior.

Dysponentami oraz preparatorami dowodów i książeczek PKO byli Kujawa i Kamionka. Pieniądze pobierali wklejając uprzednio swoje zdjęcia: Polak, Podsiadło, Wójcik, Kujawa i Kamionka. Łącznie tysięcy około 45.

A ci co nie mają groszka
Na tym świecie cóż mają począć?
Pozwolcie się w grobie pochować,
A świat niech się bez nich toczy?
(Piosenka dziecięca)

V.

Kamionka, Kujawa czy Podsiadło chodzili do szkoły. Szum do seminarium duchownego. Mieli lat siedem — już chodzili do szkoły. Mieli lat dwadzieścia, dwadzieścia jeden — jeszcze chodzili do szkoły. I co dalej?

Hemingway jest wielkim pisarzem. Mój znajomy, niejak Walery Strachurski (Wólczańska 198) — bawidamkiem. Doktor, co mnie leczy, jest rybakiem. Mój brat jest pijaklem. Jedna pani jest puszczałką. Wujcio w Warszawie zajmuje się polityką. Ja jestem wesoly. Moja żona jest smutna. Jej siostra jest plotkarką, a kuzyn rozerwystą. Mój szef zbiera znaczki. Sklepikarz na dole — forsę. — Mój przyjaciel się kocha. Ja się śmieję.

A Kamionka, Kujawa i inni chodzili tylko do szkoły.

Kujawa i Kamionka nie byli ani weseli, ani smutni — chodzili do szkoły. Kujawa i Kamionka ani się kochali, ani bawili, ani czymś pasjonowali, ani kogo nienawidzili — chodzili do szkoły.

Co robili w tym czasie, gdy nie byli w tej szkole? Jakoś spędzali czas — powiadają rodzice Kamionki. — Jakoś dni płynęły — mówi dziewczyna Kujawy.

Tak od zewnątrz wyglądało życie. A od wewnątrz? Akta nie mówią.

Chociaż... akta zawierają list Kamionki do Podsiadły.
„Ryśku! Na razie nie mam żadnej piosenki ani dobrych wierszy, ale się postaram”.
„Jeśli chodzi o wakacje to Sopot byłby miejscem wspaniałym, ale gdybyś nic nie zdiagnozował, to trudno...”

konie te przywędrowały do Polski dopiero w kilka wieków później. Zarówno Kazimierz Krusiński, jak i Andrzej Nadolski piszą o koniach „zbliżonych wymiarami do araba”, a to przecież nie to samo. Wydaje mi się, że p. Czerniak ma trochę lekceważący stosunek nie tylko do tekstu, z którym polemizuje, ale i do tego, na który się powołuje. Wystarczy zajrzeć choćby do „Encyklopedii” Gutenberga, żeby dowiedzieć się pod literą A, że koń „Arab” „jest zwykle niski, smukły, sierść jego krótka, pęciny i przeguby cienkie itd.”. Gdzie mu tam do owych ciężkich, ogromnych, z kopytami jak talerz koni zachodnio-europejskich, których używali późniejsi rycerze np. nasza husaria, czy międzywojenni „kanonierzy”. Zresztą, powołuję się na cytaty z polemiki „obok pospolitego drobnego konika pojawiają się okazy rośniejsze

„Kolor spodni zależy od Ciebie...”
„Posyłam te kupony i szyj worek na forse...”
Z listu drugiego:
„Za tą forse co zarabiasz zaraz kup sobie ze dwie koszule i skarpetki...”
„W następnym miesiącu buty czy jakieś spodnie (tylko nie z welwetu bo to mizernie i tandemnie wygląda)...”
„P.S. Załatw jak najprędzej dla mnie mieszkanie, bo u mnie w domu pali się grunt pod nogami (szkolo!)”

To wszystko. Jakis ton nieuchwytny, nutka odbiegająca od szorstkiej zdawkowości epistolarniej dwudziestolatków pięć tożsamej. Jakaś troska o tego drugiego. Trochę emocji w przyjaźni? Gdzieś tu w tych zdaniach przebiega echo wewnętrznej historii życia grupki ludzi, jakieś odbicie faktu, że stworzyli sobie własny świat.

FAŁSZERZE

mową wiązaną
BERTOLT BRECHT

Ale to było już wtedy, kiedy zśla ich wielka gra. Kiedy życie było zapewniose przez działanie i poczucie emocjonującego ryzyka. Jedni stoją w pełnym świetle, inni zaś w ciemności, z boku. Tych widzimy co są w świetle, Nie widzimy tamtych w mroku.

(Film za trzy grosze)

VI.

Kujawa i Kamionka wlepiali do cudzych dowodów osobistych zdjęcia kogoś z paczki. Potem wyciskali na zdjęciu suchą, wkleśną pieczęć z orzelką wyciętą z pięciogroszówki. Za pięć złotych jakiś człowiek mieniący się, zgodnie z posiadanym dowodem osobistym np. Zielińskim, a o twarzy Podsiadły, otwierał książeczkę PKO. Uprzednio wpisywało się wkłady stemplując książeczki pieczętkami wyciętymi z podszwy tenisówek — i podejmowało tysiąc złotych. Nadal trwała też produkcja świadectw i zaświadczeń lekarskich.

Na zewnątrz „chłopcy” o tyle się zmienili, że znikali z domu. Na wewnątrz na pewno zachodzili w paczce silne procesy integracyjne.

Potem przyszło aresztowanie. I natychmiast wszyscy zaczęli spać wszystkich.

Czy integracja ta nie była taka silna, jaką w tej sytuacji zwykła być (koleżdy szkolni połączeni wspólnym działaniem i ryzykiem)? Czy przyjaźnie nie miały wielkiej mocy?

A może już po tamtej stronie murów wszystko to przestaje się liczyć? Czy wszystko co było, już jest nieważne skoro nie ma powrotu na zewnątrz murów?

Nie wiem. Wszyscy syplią wszystkich.

Zgrzeszyłem, cóż mam czynić o stróżu ludzki?
Czemuś mnie sobie za cel położył, abym był sam sobie ciężarem?
Przecież nie odejmiesz grzechu mojego i nie odpuszczisz mi
Nieprawości mojej? Bo teraz się w prochu połóżę
a choćbyś mnie szukał jutro, nie będzie mnie.

(Księga Hioba)

VII.

Nie. Kamionka — ojciec powiada, że jego syn nie sypał. Mówi to z liryczną wręcz dumą. Na tym wszakże kończy się i jego duma i liryka.

Kamionka — ojciec miał twardą rękę zawsze. Kamionka — ojciec dziś nie pisuje do syna. Kamionka — ojciec tropił złodziei w swym zakładzie pracy. Kamionka — ojciec odstawił syna na MO. (Bo za takie rzeczy — powiada — trzeba odpokutować). Kamionka — ojciec pomógł w ten sposób milicji złapać resztę paczki.

Skoro Kamionka — ojciec jest wzorowy, okazowy, gablotkowy — to może właśnie dlatego? Może Kamionka — syn wymiotował wzorowością Kamionki — ojca i przykładał stemple do książeczek PKO, powodowany twórczym kompleksem przekory? Może broił się przed domo-uduszeniem? Może obrzydł mu ponad wszystko klimat wzorowej rodziny z obowiązkiem nań przypadającym zakończenia corocznie jednej klasy w szkole — włącznie?

Jedni wypinają się na kodeks karny z niedzy. Inni rozumowo i w sposób wyrachowany obierają sobie sprzeczny z prawem zawód. Jeszcze inni czynią to z sytej nudy. Znów inni z przekory w stosunku do zastanego po-

Napisał:

mową rozwiązaną
BOGUMIŁ BRECHTA

rządka współzycia społecznego, I wreszcie jeszcze inni w poszukiwaniu hazardu i przygody.

A Kamionka, Kujawa, Szum, Wójcik, Podsiadło? Nie wiadomo. Nie mówią tego akta. Ani rodzice, ani znajomi, ani prokurator, ani oni sami. Więc co? Chyba tak:

Była w ich życiu jakaś próżnia, która jako taka ma naturalne skłonności do samoczynnego wypełniania się. Przypadek zrzucił: Michał Kamionka bał się swego ojca i chciał mu pokazać świadectwo promocyjne. Kujawa miał technicznie — fałszerskie zdolności. Dwa przypadkowe fakty zbiegają się. Następuje włamanie do szkoły.

Na karku głowę masz
I nią się rządzić chcesz
A spróbuj czy wyżywi się
Z twej głowy choćby wiesz.

(Pieśń o znikomości wszelkich poczynań ludzkich)

VIII.

Milicja Obywatelska też zajmuje się szukaniem psychologiczno — społecznych racji



przestępstwa. W sprawie noszącej nazwę „Kamionka i inni” dokonano kilkunastu milicyjnych wywiadów społecznych.

Odnosny sierżant MO o niejakiej Zofii S. pisze co następuje:

„Wymieniona, opinie w miejscu zamieszkania, jak i wśród okolicznych mieszkańców, posiada dobrą, ze względu na to, że nie posiada skłonności do picia alkoholu, prowadzi przetrzypną tryb

życia nie przekraczający jej zarobków, moralnie prowadzi się dobrze, na swoim utrzymaniu posiada troje dzieci, z sąsiadami nie wszczyna żadnych awantur...”

Pielęgniarką Zofią S., która ma troje dzieci a nie pije i nie wszczyna awantur w ogóle nagle zainteresował się świat, nie tylko ten sierżant. Sam dyrektor szpitala dr Kuczborzski kreśli na jej temat:

„Z pracy zawodowej pielęgniarka S. wywiązuje się dobrze...” „Jest to pielęgniarka pozbawiona taktu, nie solidna”.

W skład świata, który żywo zainteresował się S. wchodzi również prokuratura. S. pociągnięta zostaje do odpowiedzialności za przedstawienie swemu kadrowcowi fałszywego świadectwa ukończenia szkoły podstawowej, potrzebnego dla dopuszczenia jej do egzaminu pielęgniarskiego. Zofia S. otrzymała je od jednego z naszej paczki, któremu robiła zastrzyki.

Zofia S. tłumaczy, że nie miała czasu chodzić do szkoły, bo praca i troje dzieci.

Pielęgniarka S. niepotrzebnie poddana została głębokiej analizie psychologiczno — społeczno — etycznej przez cytowanego powyżej reprezentanta MO. Nie masz w jej czynach bowiem trzeciego dna. Nawet wtedy, gdy się nie wszczyna awantur z sąsiadami i jak do czyjegós prowadzenia moralnego MO nie ma zastrzeżeń, a więc nawet wtedy, trzeba utrzymać troje dzieci i zdać wszystkie egzaminy, jakie do tego celu są niezbędne.

Przedstawiciel naszej paczki, wręczając naszej pielęgniarce świadectwo rzekł, w odpowiedzi na jej wątpliwości, iż może się niczego nie obawiać, że tu niema z tym świadectwem żadnego ryzyka.

Paczka dając jej świadectwo nie ubijała żadnego interesu. Ot, jeden z filantropijnych uczynków. Znaczy, że jej reprezentant posiadał świętą wiarę w swoje słowa, w niewykrywalność szajki. Zresztą planowano życie długofalowo. Latem miał być Sopot i nawe spodnie (broń Boże nie z welwetu).

Jan przyjął Marciniowi
„Łowisz rybę w mętnej wodzie”
Ale w końcu chleb swój suchy
Razem jedli w milej zgodzie.

(Film za trzy grosze)

IX.

Akt sprawy sa cztery tomy. Chyba z czterysta dokumentów. Dowodów rzeczowych kilka kilogramów. Wszystko to czytałem, oglądałem, wąchałem, macałem. Człowieka tylko (spośród oskarżonych) nie widziałem ani jednego.

W aktach jest wszystko: kto, gdzie, kiedy, z kim, ile, po co, że Kujawa 28 któregoś tam miesiąca zeznawał przestąpił, a Kamionka piął z więzienia do matki, żeby się nie martwiła. Dalej, że MO komunikuje prokuratora zatwierdza, a adwokat prosi. Mnóstwo różności. Za dużo, żeby pamiętać, za mało żeby zrozumieć.

Rzecz sądu jest przede wszystkim udowod-

więcej

goli, - szczęścia w PZPN, - wyjazdów za granicę, - Baranów w drużynie, - reprezentantów Polski, - usolnionych juniorów,

- zrozumienia w Prezydium RN m.Łodzi dla staraf ŁKS o lokal klubowy w centrum miasta, - trawy na boisku, - i silnych ludzi w sekcji sapańciozej,
- rywali dla Głowatego, - kandydatek na żony dla piłkarzy, by na stała
- zadomowili się oni w Łodzi, - ognków przed kasami stadionu, - miejsce na trybunie, - szalstów na stadionie, - wody w basenie, -
- więcej, więcej, więcej szczęścia w życiu sportowym i osobistym

Wymieniona, opinie w miejscu zamieszkania, jak i wśród okolicznych mieszkańców, posiada dobrą, ze względu na to, że nie posiada skłonności do picia alkoholu, prowadzi przetrzypną tryb



OSCAR LINDAY

LĄDOWO-MORSKI „BLITZKRIEG”

ZAWRÓT GŁOWY — LOT ROZPOZNAWCZY — SYJAMSKA SYMULACJA — SINGAPORE — IZOLACJA CHIN

W sztabie admirała Yamamoto co 15 minut przesuвано chorągiewki na mapach strategicznych. Zanim jeszcze dywizje gen. Hommy utknęły na przedpolach Bataanu — Czytelnicy zechcą pozwolić na ten rzut oka wstecz — zdawać się mogło, że pochód Japończyków powstrzyma tylko... kuliste ziemi.

10 grudnia (czasu japońskiego) lotnicy „Syna Słońca” z fotograficzną dokładnością powtórzyli Pearl Harbor pod Singaporem. Poszedł na dno tron angielskiej floty Dalekiego Wschodu — dwa potężne pancerniki, w tym jeden najwyższej klasy. Teraz Anglicy i Amerykanie zostali skwitowani w swoich szansach atakowania japońskich linii komunikacyjnych.

12 grudnia desant piechoty morskiej zajmuje wyspę Guam — cierań w oku admirałcji japońskiej. Ten „zakotwiczenie lotniskowca” tkwiący pomiędzy japońskimi archipelagami Marian i Karolin był niewralicznym punktem amerykańskich szlaków komunikacyjnych ku Filipinom i Malajom.

23 grudnia po ciężkich, zażartych walkach pada wyspa Wake. Była to pierwsza baza amerykańska, która oparła się zaskoczeniu. Batalion piechoty bronił jej 16 dni. Zanim Japończycy zniszczyli stanowiska artylerii nabrzeżnej i samoloty na lotnisku, stracili sami jeden krążownik i cztery niszczyciele.

W tym samym czasie desanty morskie prawie bez wysiłku opinowują wyspy Gilberta. Strategiczny prymet admirała Yamamoto przyobleka idealny kształt ze sztabowych wykresów. Amerykanie są szczerze izolowani od zdarzeń rozgrywających się w Południowej Azji.

Równoległe wychodzą potężne, gwiazdzące uderzenia: z Indochin poprzez Syjam na Burmę i Malaję; z Formozy i Mindanao — na Indonezję; z Karolin — na Nową Gwineę, Nową Brytanię i Wyspy Salomona. Japońskie samoloty bombardują australijski port Darwin. Sukcesy idą na wyszyci z kalendarzem!

Tempo, rozmiary i front tej gigantycznej ofensywy nie mieszczą się w pojęciach europejskiego, przywykłego rozumieć wojnę, jako walkę wielkich armii na stonkownie krótkich odcinkach frontu. Łuk, po którego promieniach

działyły równocześnie japońskie armie lądowe miał ok. 26 tysięcy kilometrów obwodu, a więc więcej niż połowę obwodu kuli ziemskiej w strefie równika! Siły lądowe Japończyków wynosiły wówczas niewiele ponad półtora miliona ludzi, w tym 250 tysięcy liczyła armia stale operująca w Chinach.

Powodzenie tej niesamowicie potężnej operacji możliwe było tylko dzięki temu, że zanim spadły bomby na Pearl Harbor, każdy dosłownie japoński batalion miał już z góry ustalony kierunek swego ataku i stacjonował w bazie najdogodniejszej dla szybkiego osiągnięcia celu. Ciekawe tylko, co w tym czasie robił amerykański i angielski wywiad wojskowy...

Z lotniska wyszła czerwona rakietka. Trzy „Hurricane’y” eskadry porucznika Mc Donalda, powoli schodzą do lądowania. Na pasach startowych stały okryte brezentem pozostałe maszyny dywizjonu myśliwców RAF, przetrzonych onegdaj z Ceflonu do Kota Bahru, centralnego punktu Półwyspu Malajskiego.

Mc Donald szybko wyskoczył z maszyny i nie zdejmując nawet krepującego kombinżonu pobiegł w stronę budynków dowództwa lotniska. Po raz pierwszy od ponad dwu lat trwającej wojny miał dziś do zameldowania coś godnego uwagi. Na południowy zachód od Saigonu, mniej więcej 150 km w prostej linii od Kota Bahru, myśliwce jego dostrzegły silny konwój morski płynący ubezpieczonym szykiem wojennym w kierunku archipelagu Anambas.

— To na pewno Japończycy. I w zupełnie określonych zamiarach — skonstatował Mc Donald pod koniec raportu.

— Traktujemy to stwierdzenie, jako pańska prywatną opinię — sucho wycedził major Collins. — O ile wiem, nie było panu danym uczestniczyć dotychczas w bojowych Jotach. Przeszedłem całą kampanię powietrzną nad Londynem i mam pewne pojęcie o sposobach prowadzenia wojny. Zresztą — ton Collinsa stał się pojednawczy — przekazuję pańskie spostrzeżenia do Singapora.

W kalendarzu pod datą 7 grudnia zapisał Collins: „rewelacyjny meldunek Mc Donalda” i opatrzył tę notatkę wielkim znakiem zapytania. Potem leniwie podniósł

stuchawkę aparatu telefonicznego i zażądał połączenia z bazą morską w Singapore.

— Nie mogę pana teraz połączyć — oświadczył podoficer inspekcyjny. — Znow jakieś uszkodzenie na linii.

— To nie nie szkodzi. Collins starannie kaligrafował pytanki przy notatce na kalendarzu. — Niech pan to zrobi jutro rano, gdy wszystko będzie w porządku.

Mc Donald pomylił się tylko co do kierunku w jakim płynęła japońska flota. W istocie bowiem zmierzała ona ku wschodniemu wybrzeżom półwyspu Malajskiego, w rejon syjamskiego portu Singora.

General Yamashita (poznaliśmy go już w czasie jego późniejszych „wyczynów” — pod Bataanem), dowódca armii inwazyjnej stacjonującej w Indochinach Francuskich (obecnie Vietnam), przykładał szczególną wagę do szybkiego opuszczenia Singapora od strony lądowej. W tym celu należało przeciąć półwysep Malajski w srodku, aby izolować Singapore od głównych sił angielskich w Burmie.

Dłatego poprzedniego dnia wszedł na lotniskowiec „Kaga”, aby osobiście dopilnować przeprowadzenia ważnego lądowania.

Z ministerstwa spraw zagranicznych otrzymał niedawno specjalny raport, z którego wynikało, że Syjam nie będzie stawiał efektywnego oporu — coś w rodzaju symulowanej wojny... Chociaż nie mogli nigdy przewyżczyć pogardy dla cywilów, pocztu tym razem szacunek dla dyplomacji we frakach. Jeżeli mówili prawdę, powinno to niesłychanie przyspieszyć wykonanie zadania.

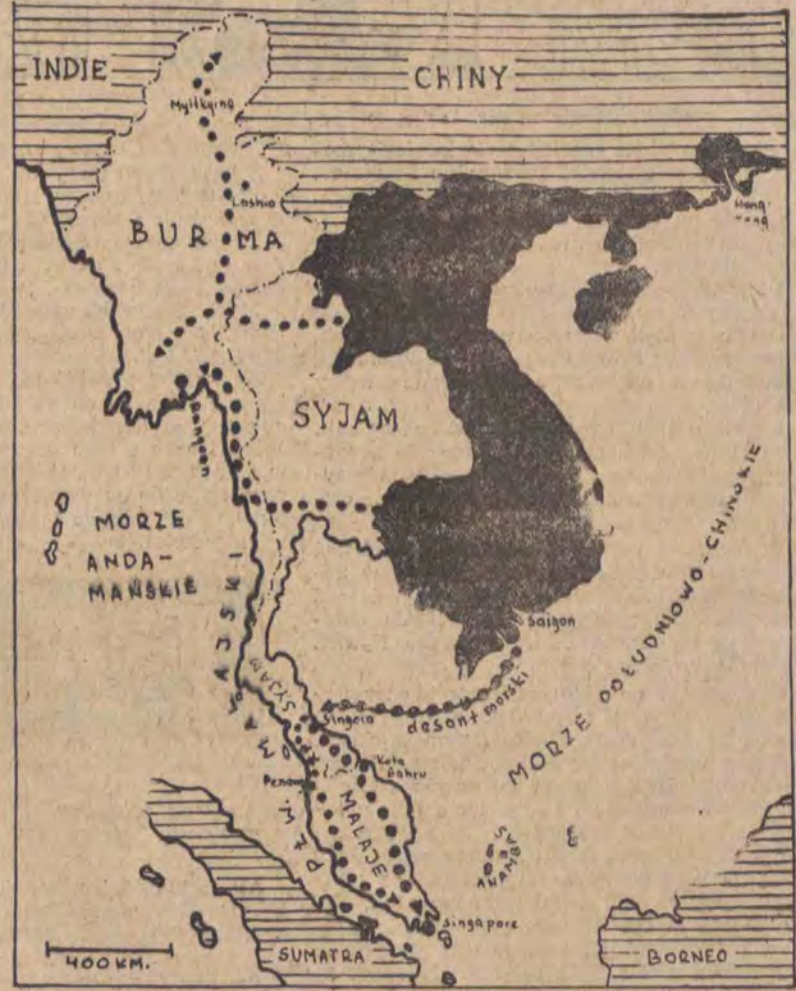
Zresztą teraz, w przeddzień wojny, nie wolno już było wątpić w prawdziwość tego osobliwego raportu. Cały plan Yamashity został dostosowany do przewidywań dyplomatów. W skład jednostek inwazyjnych wchodziły zmotoryzowane oddziały piechoty i samochody pancerne, wymagające dobrych, portowych warunków lądowania. Yamashita zdawał sobie sprawę, że w wypadku uporczywej obrony wojska te mogłyby wejść skutecznie do akcji dopiero po kilkunastu dniach. A chodziło przecież o czas.

Zachowanie Syjamu potwierdziło jednak przewidywania raportu. Już po pierwszych salwach 8 grudnia Bangkok zgłaszał kapitulację.

Nawalnica japońska runęła jak grom. Rankiem 8 grudnia bombowce Yamashity dały Mc Donaldowi ponurą satysfakcję za lekceważące potraktowanie go przez Collinsa. Nowotki „Hurricane’y” spłynęły w swych brezentowych pokrowcach.

Z Singapora wyszło uderzenie na Penang i Kota Bahru. Japończycy zastosowali taktykę o jakiej nie śniło się Anglikom. Pędzili kolumnami samochodów pancernych naprzód, nie dbając zupełnie o zabezpieczenie swoich tyłów. Już po trzech dniach półwysep Malajski został przecięty wpół.

Teraz Japończycy zmienili front i rolując przed sobą 9 i 11 brytyjską dywizję imperialną, parli na Singapore, od którego dzieliło ich ok. 670 km. Taktyka głębokiego



Agresja japońska na Syjam, Burmę i Malaję. Zaczerniono obszary opinowane przez Japonię przed 7. XII. 1941 r. Za reszkowane tereny Chin, Indii i Indii Holenderskich (Indonezja). Grubymi wykrępkowanymi liniami oznaczono kierunki głównych ataków japońskich.

przenikania na tyły i zaopatrywania tych dywersyjnych formacji z morza i powietrza tak zaskoczyła Anglików, że już 29 grudnia, trzy tygodnie po wylądowaniu, dywizje japońskie stanęły u nasady wąskiej grobli, prowadzącej do wyspy, na której leżał Singapore.

Od tej chwili nad twierdzą bezustannie operowały bombowce, nekając obrońców i osłaniając przygotowania do ostatecznego ataku. Potężne baterie artylerii nabrzeżnej, stale unowocześniane i pieczołowicie zabezpieczone, mogące oddać skuteczną walkę z każdym okrętem — teraz, gdy po raz pierwszy miały okazję obronić chwałę korony — okazały się bezsilne. Po prostu konstruktorzy nie przewidzieli możliwości strzelania na północ. Stalowe wieże miały zdolność obrotu tylko 270 stopni.

„Wschodnia twierdza korony”, teoretycznie niezwyciężony Singapore z 70-tysięczną załogą, kapitulował 15 lutego 1942 r., w siedemdziesiąt dni od wylądowania.

Churchill określił to zdarzenie, jako „największą porażkę w historii oręża brytyjskiego”. Oprócz strategicznego „klucza do południowej Azji” uzyskali Japończycy na Malajach połowę światowej produkcji kauczuku i blisko połowę produkcji cyny.

Zauważmy, że wszystko dzieje się równocześnie. Kapitulacja Syjamu odsłania dywizjom japońskim granice Burmy. Na syjamskich szosach rozpoczyna się pokazowy wyszyci zmotoryzowanych formacji, które z całym impetem wznajają się w głąb terytorium bur-

mańskiego. Obszary południowa zostają zajęte już w ciągu pierwszych dni.

Osiłaniając Rangon, port przez który idzie zaopatrzenie dla Chin i Burmy, Anglicy organizują obronę w dolnym biegu rzeki Salwin. Przeszkodę tę obchodzą Japończycy od północy, zmuszając Anglików do ewakuacji Rangonu.

Burma jest rozległym obszarem. Od Rangonu do granicy chińskiej musieli Japończycy pokonać 1400 km trudnego terenu. Był to jednak ważny cel strategiczny — przecięcie tak zwanej „Drogi Burmańskiej”, którą szła lwia część pomocy alianckiej dla Czang Kai-szeka. Oczywiście Chińczycy nie pozostają obojętni. Delegują silny korpus ekspedycyjny, który jednak został rozbit pod Lashio, zanim zdążył wybrać dogodną pozycję do walki. Japończycy druzgocą każdy opór praktycznie do północy, osiłając wreszcie w połowie kwietnia Myitkyina i przecinając w ten sposób ostatecznie „Drogę Burmańską”.

Jeszcze w grudniu Japończycy błyskawicznym desantem i atakiem z lądu zdobyli Hong-Kong, brytyjską kolonię w Chinach. Był to ostatni wolny od Japończyków port na wybrzeżu chińskim. Wszystkie inne zdążyli już zająć w latach 1939—1940.

Teraz, po przecięciu „Drogi Burmańskiej” Chiny zostały zdane na własne siły. Ten „kasek” jednak pozostawili Japończycy na ostatnią fazę wojny. Nim jednak zdążyli się do niego zabrać, musieli pomyśleć o własnej skórze...

d. c. n.

QUO VADIS FRANCJO?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Kości zostały rzucone. Skończył się bezwład, rozpoczęła się próba sił. Francuska Partia Komunistyczna wezwała „swych członków, sympatyków i całą lud francuski do obrony republiki przed faszystem. Rząd Pflimlina uzyskał od parlamentu zgodę na wprowadzenie stanu wyjątkowego

go. Jednocześnie jednak Pflimlin, poparty przez centrum i republikańską prawicę, zamierza wykorzystać wprowadzenie stanu wyjątkowego zarówno przeciwko prawicy jak i przeciwko lewicy.

Z dotychczasowego przebiegu wydarzeń we Francji można wywnioskować, że rząd Pflimlina, mimo powstania w Algerze i oświadczeń de Gaulle’a uważa za główne niebezpieczeństwo możliwość narodzenia się we Francji frontu ludowego z udziałem komunistów. W toku debaty parlamentarnej nad ustawą o stanie wyjątkowym, kiedy Waldeck-Rochet w imieniu grupy ko-

munistycznej zapowiadał głosowanie za projektem rządowym, Pflimlin demonstracyjnie oświadczył: „Nie uwzględnię głosów komunistów, jeśli będzie trzeba ocenić czy rząd dysponuje lub nie większością republikańską i narodową”. Jednocześnie partia socjalistyczna i radykalowie odrzucają wszelkie propozycje komunistów, zmierzające do wspólnego działania dla obrony republiki. Dzieje się tak mimo tego, iż komuniści, ciesząc się poparciem większości wielkoprzemysłowego proletariatu, stanowią najpotężniejszą przeszkodę dla reakcji. Jednocześnie Pflimlin nie wypowiedział ani jednego złego słowa o gen de Gaulle, mimo jego oświadczenia iż gotów jest objąć władzę. Nie rzucił również ani słowa

potępienia pod adresem generalów, którzy wszczęli antyrepublikański pucz. Quo vadis, Francjo — oto jest pytanie. Czy de Gaulle obejmie władzę? Jeżeli tak, to co dalej i jeżeli nie, to co dalej? Pyta się rodzi zresztą wiele. Co do wielu z nich można snuć jedynie spekulacje polityczne, które mogą okazać się chybione już za kilka godzin. General de Gaulle widzi „uzdrowienie” Francji w rękach silnej ręki. Możliwość jego rządów budzi w Waszyngtonie wielki niepokój. „Przywódcy państw atlantyckich — pisała AP — po wzajemnych konsultacjach

Dokończenie na str. 9

Za tydzień:

WOJNA
MORSKA
na
Archipelagu
Sundajskim

EDWARD ETLER

RAWA- DWA AKTY DRAMATU

Auto przegania z szosy spacerujące stadka kaczek. Uciekają w stronę pól, zasianych śnieżnobiałymi narcyzami. Spokój tej okolicy, tak przecież bliski Rawie, każe przypuszczać, że padliśmy ofiarą czyjejs fantazji. Od lat, gdy zbliża się czas tzw. kanikuły, gazety poszukują legendarnego wędła morskiego, żeby odzyskać czytelników straconych na rzecz słońca i wakacji. Ale już zza zakrętu wylaniają się malomiasteczkowe zabudowania, wyrwiony płot i fragment zerwanego dachu, poniewierającego się w ogrodzie, wśród połamanych drzewek. Dalej pokotem leżą wieloletnie kasztany. Stajemy. Ulicą idzie człowiek z obandażowaną głową. Mówi:

— Zaczęło się około godziny szóstej. Zrobiło się zupełnie ciemno, a na górze był huk. Stałem w budce, która drżała. Wybiegłem z niej i wtedy mnie porwało. Przeleciałem ze trzydziści metrów i dopiero płot mnie zatrzymał, siatka.

Kobieta, przechodząca opodal radzi udać się bliżej śródmieścia, gdzie „takich” jest więcej a domy leżą. Jedziemy. Przed nami duży budynek, szkoła. Z dachu pospadały dachówki, pozostały jedynie wiązania. Niżej wszystkie szyby wybite. Skracamy w lewo. Tutaj zaczynają się pierwsze dżwy. Obok wysokiego, murowanego domu, który wygląda, jak gdyby miał się rozlecieć, stoi mała budka fotografa. Jakims trafem drewniane ściany oparły się zawierusze. „Tamto” przeszło wyżej, utraciło wierzchołek wieży, zrujnowało budynki, zerwało linie wysokiego napięcia i odeszło. Tutaj i w okolicznych wioskach zostało po sobie gospodarstwa w ruinie.

Nazajutrz gazety przyniosą dokładny opis tragedii, a uczeni synoptycy wytłumaczą fizyczne zasady zjawiska. Cały kraj pośpieszy z pomocą materialną, Zakład Ubezpieczeń wypłaci odszkodowania. Tymczasem na ulicach Rawy i na drodze wiodącej do przyległych wiosek — stoją ludzie.

Kreca się pośród nich dziennikarze. We wnętrzach zdemolowanych izb, w cieniu przywalonych ścian, błyskają flesze fotoreporterów. Ktoś ustawia staruszkę na tle olbrzymiego korzenia, wyrwanego z ziemi i każe jej zasłaniać się rękoma. Obok obraduje zwołana na prędkę komisja. Pada czyjeś zdanie, że zboże było młode i tylko przygięło się do ziemi. A więc nie wymaga przeorania i powtórnego zasiewu.

W ślad za katastrofą postępują zdarzenia, których mechanizm wywołał się automatycznie, jak zwykle w takich okolicznościach. Przede wszystkim zaraz znaleźli się najstarsi wiekiem ludzie, gotowi przysięgać, że odkąd Rawa-Rawa, niczego podobnego nie było.

— Czasy były inne, mówią. Wszystkie te próby atomowe i sputnikowe tak się musiały skończyć. Zimy nie było jak trzeba, a wiosna zaczęła się powodzią. Teraz znowu „To”. Dobrze, że tylko tyle. „To”, albo „Tamto”. Inaczej nikt tego nie określa. W Rawie owszem, słyszałem słowa „huragan”, „trąba powietrzna”. Ale we wsi jedynie „To” jak o sile nadprzyrodzonej. Postanawiam prześledzić, jaki ślad pozostawił po sobie wypadek w mentalności poszkodowanych ludzi.

Babcia, chyba osiemdziesięcioletnia, nie ma bezpodstawnych pretensji do sputników. Może o nich nie słyszała? Babcia mówi tylko dwa słowa: kara boska. Nie chce powiedzieć, za co ta kara. Dopiero po długich i kunsztownych zabiegach dowiaduję się, że „kiedy jeden taki jest we wsi, to wszyscy cierpią”. Osoba winowajcy pozostała tajemniczą babci. Kto to? Aktywista miejscowy, agitujący za spółdzielnię? Etapy się babcę pomyliły! A może inny sąsiad, niesforna owieczka tutejszego proboszcza?

Potem dowiedziałem się, że babcia miała na myśli uczestników potańcówek, które odbywały się niegdyś w remizie strażackiej, a nie zwykły kończyć się bez udziału noża.

— Tutaj, w tej remizie, mówi ktoś do mnie, i pokazuje kierunek palcem. Jaki? Przecież tu żadnej remizy nie ma...

— A właśnie! Już nie ma. Tylko po niej pompa została. Przepadło miejsce grzechu i rozpusty. Bóg wie co robi.

— Naród u nas spokojny, gospodarny, ale nierozumny — dożuca ktoś z boku. Dachówkę, którą wiatr strącił — ułożą, stodoły postawią. Ale czy ludzi coś zmieni? Nie im nikt nie wytłumaczy, Wiedzą swoje.

Wchodzę na teren rozbitego gospodarstwa. Proszę o szklankę wody. Dostaję garnuszek, w którym pływają wodorosty. Gdybym wypił, to zapewne bez trąby powietrznej przeniósłbym się na tamten świat. Oglądam domostwo.

Tutaj staliśmy, mówi kobieta, pokazując sionkę, która jakoś uchwalała się od zniszczenia. Gdybyśmy tam byli, mówi, to by... Nie kończy, otwiera drzwi, które łączą sionkę z przylegającą do niej izbą. Widzę, że jest tam dziwnie jasno. Izba nie ma sufitu. Pozostały jedynie pkośne belki, widać przez nie czarne chmury, przesuujące się po niebie. Zbiera się na deszcz.

— Wszystko stracone — mówi kobieta. — Na strychu mieliśmy odzież, żywność. Pozostało to, co pan widzi, worek mąki, który zniósłam, żeby nie zmokła. Akurat we Wniebowstąpienie to przyszło. W stodołę było siano i owies dla konia. Jak zaczęło wiać, wtedy wszystko tylko się zakreśliło i poleciało z dachem. Grad latał, wielki jak kurze jajka, drzewami trzaskało.

Wychodzimy przed dom. Żołnierze znoszą deski, reperują płot.

— Gospodarze mało pomagają, skarży się jeden z nich. Zupełnie jak na akcji żniwnej. Złożyli ręce i czekają, aż wszystko uprzątziemy.

Deszcz pada coraz większy — wracamy do Łodzi. Wyjeżdżamy na szosę. Trąbiąc klaksonem mijamy nas jakaś taksówka z łódzkimi znakami. Za nią druga i trzecia. Pełne wycieczkowiczów. Wychyleni z okien rozglądają się wypatrując ruin. No tak, skończył się pierwszy akt tragedii, minęło niebezpieczeństwo śmierci. Rozpoczął się akt drugi dramatu.

Zdjęcia autora

str.

5

odgłosy



Czy naprawdę bajecznie kolorowe? Niestety, dzisiaj już nie. Kolory sukman żółtki, wypłowiały, wstążki Panny Młodej zetlały, unosi je wiatr, ze ścian wesolej, rozspiewanej chaty osypał się tynk.

I tak minęło „Wesele”. Tak, jak epoka jakże niedawna, a przy tym gruntownie zapomniana. Rydel i Tetmajerowie, Przybyszewski i Dągny, Bronowice i poddasza, poddasza. I jeszcze Boy i jego „Słówka”, jedyny chyba trwały pomnik Młodej Polski. Bo co nam upióry „Wesela”, narodowe dramy post-romantyków, co nam muzy secesji, perły i lzy sonetów? Boy, ten pozostał. Szydlercy i prześmiewcy zawsze pozostają, a ich wzgardzone dziełka trwalsze okazują się od tragedji i dram bohaterkich. Ja wiem, że to smutne. I jakże mizernym pocieszeniem jest fakt, że co najmniej jedna trzecia tekstu „Wesela” znalazła swoje miejsce w języku potocznym, wtopiła się weń, gdy stwierdzić trzeba, że całą sztukę przysypuje już pył niepamięci.

„Wesele” jest szare. Może dlatego, że jego bohaterami są ci — i tylko ci — których w roku 1901 można było spotkać na Plantach lub w bronowickiej chacie? Któż zechce dziś powtórzyć ich uczucia, któż zechce podjąć ton ich pokornej liry? A może dlatego, że wszystkie metafory i symbole tej narodowej szopki dawno już — nim jeszcze zdolał się urzeć

ją na scenie — wyłożyli nam wszystko wiedzący nauczyciele?

Nie pozostał już ani jeden niejasny, tęczący wielością znaczeń wiersz, ani jeden niezapisany skrawek marginesu. I może dlatego szare jest „Wesele”? Nigdy już nie będzie znaczyć więcej, niż znaczy dziś. A kiedy wszystkie znaczenia przychylnie, laskawie, oddają się widzowi i czytelnikowi, odchodzi poezja. I poezja odeszła. Zostały natomiast rozliczne poetyczności i wzgarda dla precyzji myśli i formy. Zbiegło pierwsze, świeże wzruszenie, pozostał styl epoki, wielokropki, pauzy i myślniki. Niestety, nie już nie mieszka w domu wielokropków, nie się nie kryje poza myślnikami. „Nam nie zostawił Wyspiański pomocy”.

Lecz czyż naprawdę nie został? Czy nic nie ocalało?

Idźcie do Teatru Jaracza. A kiedy usłyszycie w krzesłach — tu proszę, by reżyser i scenografowie zechcieli wybaczyć mi to zalecenie — zamknijcie oczy. Posłuchajcie. Na scenę wkracza rytm. Rytm wiersza, rytm dialogu, krótki, urwany, co chwilę łamiący się i rozszarpywany. A jednak wspaniały i jedyny. Niepowtarzalny i nieprzetłumaczalny na rytm żadnego innego języka. Idźcie do Teatru Jaracza. Zrozumcie, czym jest wiersz w dramacie. To dzięki niemu przyjmujemy bezboleśnie poetyczne, wytarte słowa, słowa, słowa. Któż to powiedział, że większość na-



Fot. Franciszek Myszkowski
Zbigniew Niewczas (Pan Młody) i Urszula Modrzyńska (Panna Młoda).

BAJECZNIE KOLOROWE?

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

szych dramaturgów współczesnych słoń nadepnął na ucho? Miał rację, na pewno. Więc jeśli chcecie oczyścić się i odpocząć po płynącej ze scen naszych obfitym strumieniem gadaninie, paplaninie, nieartykułowanym belkocie współczesnego dialogu — idźcie na „Wesele”. I posłuchajcie — zaraz tryśnie rytm. On pozostał.

I tu wypada zgłosić pretensję pod adresem reżysera. Niestety, Stefania Domańska zdawała się baczniejszą uwagę zwracać na sytuację i na prowadzenie aktorów, niż na ów niepowtarzalny, a jakże trudny do oddania rytm „Wesela”. I rytm — przede wszystkim w akcie pierwszym — rwał się i ginął nagle. Może trudno

zresztą obwiniać reżysera? Pierwszy akt „Wesela” jest przykładem na to, jak nie należy konstruować sztuki. Jednak, jakkolwiek bądź napisany, akt ten nie da się już zmienić, niestety. Nie należałoby się więc uchylać od podjęcia próby, dzięki której rytm panowałby nie tylko nad każdą poszczególną sceną, ale także nad całym spektaklem.

Innych pretensji nie zgłaszam. Napisałem wyżej: „Wesele” jest szare. Na scenie Teatru Jaracza było szaro. Inaczej być nie mogło. Spłowiły już przecież bajeczne kolory. Tym bardziej smutnymi wydać się musiały barwy, w które ubrał „Wesele” inscenizator, Jan Kosiński. Jego pomysły inscenizacyjne (podane do czytania w ostatnim numerze „Dialogu”), bardzo mi się podobały. Choć jednocześnie uznałbym je za chyba troszeczkę ryzykowne. Chociaż Kosińskiego przypominał raczej szekspirowskiego Ariela, niżli narodowego upióra. Konsekwentnie, Szela winien zapewne przywołać na pamięć Kalibana,

a Wernyhora, być może, Prospera. Proszę mi wybaczyć te niepoważne żarty. Pastacje „Wesela” nie poddadzą się zapewne nigdy jednej i jednolitej koncepcji widzenia. Podobnie, jak nie poddadzą się takiej koncepcji światła i barwy sztuki. „Wesele” Domańskiej-Kosińskiego miało być pastelowe i stonowane raczej, niż tryskające kolorami. Cóż, kiedy błękitna — w założeniu — skrzynia, w której zamknięto działanie, nie była błękitna. Była szara. Szare były też światła. Być może zresztą, iż podobne wrażenie bezbarwności odebrałbym, oglądając „Wesele” pokazane „tradycyjnie”, w tych dekoracjach i kostiumach, o których wspomnienie przekazały nam roczniki czasopism, fotografie i pamiętniki? Nie wiem. Nie znam tej tradycji, nie zna jej całe pokolenie młodych aktorów, poetów, krytyków. Może dlatego właśnie traktuję te narodowe jasełka z taką, wręcz przerażającą, powagą? Z taką smutną powagą, z jaką potraktowali je aktorzy Teatru Jaracza? Ograniczmy się tylko do kilku nazwisk. Rachel Teresy Mareckiej była secesyjną muzą. I to muza, potraktowana bardzo serio, bez odrobiny ironii czy kpiny. Dawno nie widziałem tak szczerze przeżytej i zagranej roli. Podobnie serio grał Jerzy Cwikliński. Jeśli ktoś z aktorów potrafił zachować dystans w stosunku do granej przez siebie postaci, to tylko chyba Ryszard Bacciarelli. Był on poetą nie jednej tylko epoki. A przy tym bardzo ładnie mówił wiersz. Nad całym spektaklem unosił się duch epoki. Nie naszej, oczywiście. Tamtej, okrutnie zapomnianej. Inaczej być nie mogło. Wstążki Panny Młodej nosi wiatr, ze stropu rozspiewanej chaty osypuje się pył. Bo co nam dziś peleryny czarne, sonety i Rachele! Sypie się pył. „Nam nie zostawił Wyspiański pomocy”.

Stanisław Wyspiański „Wesele”. Premiera dnia 12 kwietnia 1958 r. w Państwowym Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi. Inszenizacja: Jan Kosiński. Reżyseria: Stefania Domańska. Muzyka: Tadeusz Baird. Kostiumy: Hanna Pfeffer.

Nie grajcie Szekspira!

Nie grajcie Szekspira. Nie grajcie „Hamleta”, „Wesołych kumoszek z Windsoru”, „Burzy” ni „Snu nocy letniej”, jeśli nie macie reżysera, który bez obawy wszedłby w las szekspirowski, by w nim zagnać, a potem znaleźć drogę ku nietykalnemu centrum, ku wściekłości i imaginacyjnemu wyspom szczęśliwym łagodnego uśmiechu. Nie grajcie „Wiele hałasu o nic”, jeśli macie reżysera śmiejącego się chętnie z własnych pomysłów, lecz znużonego wielce zaletami tekstu.

Nie grajcie Szekspira, jeśli nie możecie pozyskać scenografa, który ustawiłby dekoracje lekkie i świetliste, rezygnując z opasłych balustrad i szmacianych liści. Nie grajcie „Wiele hałasu o nic”, jeśli scenograf wasz nie pojmie, że ta komedia jest festynem brow i światła.

Nie grajcie Szekspira, jeśli uważacie, że dramaturg ten pisał swe sztuki belkocliwą, bezdźwięczną prozą, jeśli nie dysponujecie przekładem, którego rytm i barwa mogłyby dotrzeć do widza, przemienić go i uczynić lepszym. Nie grajcie „Wiele hałasu o nic”, jeśli nie chcecie lub nie potraficie podać nazwiska tłumacza tej komedii.

Nie grajcie Szekspira, jeśli nie potraficie skłonić aktorów, by nauczyli się tekstu na pamięć, by nie piłąły im się języki, by mówili po polsku, płynnie i bez wahań.

Nie grajcie „Hamleta”, gdy zagrałby rolę duńskiego księcia i aktorki, która zagrałaby Ofelię. Nie grajcie „Burzy”, gdy nie jesteście w stanie obsadzić roli Prospera i Ariela. Nie grajcie „Wiele hałasu o nic”, jeśli nie macie ni jednego aktora dla żadnej ze sztuk szekspirowskich. Niech Antoni Leweek nie gra Don Juana, a Mirosław Sonert — Benedykta. Niech grają we francuskich komedijkach. I nie pozwólcie nigdy grać w Szekspirze Sidonii Błasińskiej. Niech gra w „Czajce” Czechowa. Niech gra w „Wujaszku Wani”. Ze swym ślicznym uśmiechem i zlymi warunkami głosowymi być może, zagra świetnie Sonię albo Ninę. Niech nie gra w „Wiele hałasu o nic”.

Nie grajcie Szekspira, jeśli uważacie, że „spośród wszystkich kierunków i wszystkich epok wyróżnia go głęboki realizm, przede wszystkim realizm psychologiczny, gdyż główny konflikt jego utworów rozgrywa się w duszach postaci”, i że zajmuje on „trwałe miejsce w literaturze”, i że „urodził się, uczęszczał do szkoły początkowej i założył rodzinę”.

Nie grajcie Szekspira, Ja bardzo proszę.

J. M. R.

* Wszystkie cytaty pochodzą z programu komedii w pięciu aktach Williama Szekspira „Wiele hałasu o nic” wystawionej w Państwowym Teatrze Powszechnym. Opracowanie tekstu: Z. Sawan. Reżyseria i scenografia: J. Ukleja. Muzyka: T. Pafiorde-wiecz, Dyrektor i kierownik artystyczny: Z. Kocanowicz. Premiera 10 maja 1958 r.

WIERSZE



EWA DĄBROWSKA

Wiem
życie moje krótkie
wiem
ciało moje śmiertelne
jak tępy cudzysłów
spina
treść niezgłębioną

wierzę
gdy skończy się farsa
ja
będzie może oznaczać
plamę barwnego światła
albo
dźwięk potrąconej struny
wolny od lęku

W sekrecie
prosiłam
daj mi do trumny
choćby twą przepoconą koszulę
abym nie była tak bardzo
tak bardzo
opuszczona,



BARBARA EYSYMONT

DO SYRENY

Nie pływ, miła, ja się boję,
Strach po nocy na dno rzeki,
Świecą ryby jak szarańcza
Tłustym, księżycowym grzbietem

Nie pływ, miła, twoje usta
Mrok wydzwoni o północy,
Wiatr przywieje twoje ręce,
Deszcz wyszumi twoje włosy.

Nie pływ, miła, ja się boję,
Pełnia kutrów, pełnia sieci,
Rybak ostrzy w ustach fajkę,
Mewa woła przyplływ śmierci,

TADEUSZ SZKLAREK

Ociemniały

Wł. Broniewskiemu

Noc
Rozświetlona
Dwiema wygasłymi gwiazdami
Księżycze zawieszony w wyobraźni
Ziemia pełna zasadzek
Więc
O tym wszystkim mówią
Dobrze
I źle
Ociemniały
Wyciąga rękę
W dzień pełen nocy
Otwiera dłoń
I widzi
Pustkę
Wypchaną rekwizytami świata

RYSZARD KUJAWSKI

TRAMWAJARCE LUDWISI

Płukał miasto wodospad deszczu,
Wczesną jesień przydmuchały wiatry,
Rozspanym porankiem, młeszczech,
Czapał na zew zakładów i fabryk.

Pozdrawiany świetnym sygnałem,
Przytaczając nawodnione szyny
Dudnił tramwaj, w którym poznałem
konduktorę — bałucką dziewczynę.

W ciasnym wnętrzu wozu trzeciego,
Gdzie się każdy z resztką snu droczył,
Zachwyciły mnie, wchodzącego,
Jej służbiste, zuchowate oczy,
I głos, który zmiekl i zlagodniał,
Fala włosy zatapiając jesień,
Świat zleniacka wokół odmłodniał,
Maj przestonił mglisto-dżdżysty wrzesień.
Szara służbę uśmiech rozjaśnił
A szcęk szczyptec oznaczał przymierze,
Trochę, jak w życiu i jak w baśni,
Co pozostanie wiary problemem.
Zanim wiosna w godową szatę
Przyobłęka miasto zadymione —
Chyży tramwaj, co został swatem,
Wozil dalej Ludwisę — mą żonę.

aczo się od małego skandalu (dyplomatycznego, jak powiedzieliśmy dzisiaj) w czasie obrzędu zaślubin Maryny Mniszchówny z carem Dymitrem zwanym Samozwańcem, zastąpionym w czasie obrzędu religijnego przez upelnomocnionego specjalnie do tej czynności pościa, bojara i wielkiego diaka w jednej osobie, Atanazego Własiewa (vide mój felieton z nr 12 „Odgłosów” pt. „Król i bajki”).

Reprezentując osobę Hosiudara poseł odnosił się z dużą nieufnością do złościących Lachów, którzy niby to przyjmowali go z otwartymi rękami, ale w każdej chwili gotowi byli przypiąć mu łatkę.

Toteż gdy po odśpiewaniu przez chór rorantyków z kaplicy Zygmuntowskiej „Veni Creator” ksiądz kardynał Bernard Maciejowski „w kapkę kosztowną ubrany” w licznej asyście prałatów przystąpił do ceremonii udzielenia ślubu przysięgi carowej i zastąpionemu przez posła carowi, zaszedł dawno nie notowany w siedemnastowiecznych kronikach dyplomatycznych incydent. Na zapytanie kardynała, azali wielki car moskiewski nie ślubował już innej niewieście wierności małżeńskiej, poseł carski odburknął: „A szto ja znam?” (według pisowni i fonetyki siedemnastowiecznej). Nie byłam świadkiem naocznym tego historycznego zdarzenia, które powtarzam za „Dziejami panowania Zygmunta III” Juliana Ursyna Niemcewicza, ale z łatwością mogę sobie wyobrazić konsternację, jaką zapoowiadała wśród zgromadzonego kleru, kwiatu rycerstwa polskiego, wielmożów, senatorów Rzeczypospolitej i czciogodnych matron.

Obecny przy obrzędzie ślubnym kanclerz wielki litewski miał podobno skarcić po rusku niefortunnego posła: „Jak ty odpowiadasz, chłopie, zapomniałeś, gdzie jesteś?”

Na to imię Własiew, rozłoszczony, wypalił: Kaliby on ślubował, to by mnie zdzielić nie stał!”

Tłumaczone sobie zdenerowanie bojarzyna łękiem przed nie znanymi formułami łacińskimi, które padały gęsto z ust księcia Kocięła, a w których imię Własiew (miejsce na względzie, Szanowni Czytelnicy, właściwą siedemnastowiecznym ludzom mentalność!) upatry-

WLADYSŁAW RYMKIEWICZ

STRASZNIE CIEKawe, WRĘCZ NIEPRAWDOPODOBNE a przecież zawsze PRAWDZIWE
ROZMAITOŚCI
STAROPOLSKIE

czyli

Dwudniowa carowa

wał jakis szatański podstęp, pułapkę, zamach na niezawisłość państwa moskiewskiego i godność cara. Dlatego przeciwstawił się stanowczo zamawianiom łacińskiego papieżnika czyli wielkiego czarownika, za jakiego uważał kardynała, i oświadczył kategorycznie: „Z panną Maryną ja mam gawarię, a wacpanna ślubować carowi, zaś poseł za cara — pannie!”

Nie koniec na tym! Wyjąwszy ze szkatułki pierścien z diamentem „wysokim jako dobra wisiwnia” (Niemcewicz wręczył kardynałowi, który z kolei włożył na palec panie Marynie. Ale otrzymanego w zamian pierścienia ślubnego nie odważył się poseł włożyć na swój palec, lecz schował do szkatułki. Podobna historia powtórzyła się przy wiązaniu rak stula. Wielki diak za nic nie chciał dotknąć swą wiochatą łapą dloni przyszłej carowej. Uważał że jest niegodny! Trzeba było posyłać po „rabek” (chusteczkę) do pani wojewodziny, którym imię Własiew owinał rękę i dotknął przez chusteczkę swą wiochatą. Tak im związane stulą ręce!

Prezentów ślubnych czyli „upominków carowej, wojewodziance sandomierskiej, od posła moskiewskiego oddanych” było 29 i wszystkie arcykosztowne! Pozwólcie, że wymienię cztery najdroższe: „wół złoty z kamieniami, leżący na nogach, a wewnątrz w nim rozmaite naczynia gospodarstka”; „czara wielka złota z kamieniami i perłami”; „paw złoty ozdobny z ogonem roztoczonym i wyniesionym, pióra się tak trzęsą jak u żywego”; „zegar, na nim stół z wieżą złotą, który za jeden dziml pisać można, grał obyczajem moskiewskim dzwawkami różnemi, głośno i wyrozumiano, w

bębny bito, trąb dwanaście trąbiło, potem na fletach grał, potem godzin dwie uderzył”. Pozostałe prezenty to złotogłów, aksamity, sobole itp. W sumie wszystko, jak na owe czasy, bardzo kosztowne. Zresztą, nie bądźmy znowu zbyt wymagający, proszę państwa! Gdyby ślub brali dzisiaj, to z pewnością Moskiewcin ofiarowałby Polsce „Moskiewicza”, odrzutowiec Tu 104, a może i Sputnika?

Przypominam, że tamto działo się 353 lata temu, 22 listopada 1605 roku w Krakowie. Wojewodzianka po uroczystościach weselnych nie spieszyła się do nowopodślubionej małżonki. Z Moskwy dochodziły nieprzyjemne wiadomości o wesołym trybie życia cara Dymitra, który pod nieobecność swej polskiej połowicy pocieszał się w towarzystwie pięknej Kseni, córki obalonego Borysa Godunowa. Był to pierwszy do wycięcia klekich goryczy dla dumnej Maryny.

Dopiero z początkiem marca następnego roku odbył się triumfalny wjazd polskiej carowej do stolicy carów, zaś 18 maja patriarcha Ignacy dopełnił na Kremlu obrzędu koronacji i powtórnego ślubu Maryny z Dymitrem według obrządku prawosławnego. Spełniły się marzenia ambitnej wojewodzianki! Tron i koronał Bogactwo i władza! Szczęście jej trwało jednak niedługo! Zapewne nie zdążyła nawet doznać zawrotu głowy od sukcesów. Tylko dziesięć dni rozkoszowała się pełnią absolutnej władzy monarszej na prestole carskim.

27 maja 1606 roku wtargnęli na Kreml spiskowcy i zamordowali Dymitra. Był to drugi klelich goryczy z wyroku zdradzieckiego losu. Carem zostaje Wasyl Szuj-

ski, który zsyła Marynę z ojcem i jej dworem na wygnanie do Jarosławla w widziach Wołgi i Kotorosty.

Maryna miała wówczas 19 lat. Upadek z wyżyn tronu do odludnej mizernej osady zabitej deskami od świata i to na obczyźnie, mógłby niejedną mniej wytrzymała nerwowo od niej białogłowej przyprawić o czarną melancholię. Ale nasza Maryna nie upada na duchu! Co

prawda, ze względu na jej młody wiek ukrywano przed nią prawdę o zamordowaniu męża.

I oto w lipcu 1607 roku roznosi się lotem błyskawicy po całym carstwie moskiewskim wieść, że Dymitr odnalazł się i przebywa we własnej osobie w Starodubiu mobilizując siły zbrojne do walki z Wasyliem Szujskim. Teraz dopiero dowiaduje się carowa o śmierci męża i o roli, jaką będzie musiała odegrać wobec nowego Łędymitra! Szlachcie, który otworzył jej oczy na prawdziwy stan rzeczy, został za karę wbity na pale.

Spotkanie... małżonków następuje we wrześniu w Tuszyńcu pod Moskwą, gdzie rozbił obóz wojskowy nowy pretendent do tronu, nazwany „tuszyńskim worem”.

Maryna z początku opierała się, ale w końcu uległa namowom ołoczenia. Ambicja pokonała wszystkie inne względy natury religijnej, etycznej, obyczajowej! (Dumna niewiasta zgodziła się dzielić łożę z niepoślubionym mężczyzną, prostakiem

i grubianinem, co do którego tym razem nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że jest — Samozwańcem, Pseudodymitrem). Miraż władzy monarszej, korony i tronu okazał się potężniejszy od wstępu fizycznego, jako wzbujał w niewieście „tuszyński wór”. Bowiern powierzchniowość drugiego Pseudodymitra była odrażająca.

Sądziłem, że uda mi się w tym felietonie zakończyć dzieje pięknej Maryny, tymczasem jesteśmy dopiero na wstępie jednej z najbardziej romantycznych historii, jaka zdarzyła się za czasów słynnej awanturzystki Dymitrady panów polskich, a mnie już zabrakło miejsca w „przeźrzeni życiowej” wyznaczanej przez redakcję.

Ambitna Maryna miała jeszcze trzeciego wielbiciela. O życiu córki wojewody i dziesięciodniowej carowej z „tuszyńskim worem” i romansie jej z pięknym pułkownikiem kozackim Zarudzkim opowiem w następnym felietonie.

Rzeczy zmyślone!
Tylko dla naiwnych!



**Sokrates,
indyk
i
żołądek**



MARIAN PIECHAL

czasu aż po dziś dzień wskazują do najgłębszej głębi i płynę, nie myśląc o tym, nie obliczając żadnego ruchu rąk, ani nóg, i nie tonę. A im mniej o tym moim pływaniu myślę, tym lepiej płynę.

Do czegoż ci ja, na brodzie Bezebuba, zmierzam? Czyżby do propagandy bezmyślności? Gdzież tam! Właśnie wprost przeciwnie. Bo weźmy choćby na ten przykład takiego majowego słowika. Czy on myśli, że tak pięknie śpiewa? Chyba nie myśli. A coż to jest śpiew? To ruch powietrza podobnie jak i hałas. Ale jednak hałas od śpiewu różni się diametralnie czyli właśnie wprost przeciwnie. Czyli że i ruchy powietrza, które sprawiają przykry hałas, są wprost przeciwnie do tych ruchów powietrza, które sprawiają przyjemny śpiew. Ale czy słowik myśli o tych ruchach powietrza? Chyba nie. A dajmy na to hipopotam. Choćby nawet myślał o tych drganiach własnych strun głosowych to i tak będzie tylko chrząkał i nigdy tego chrząkania w śpiew nie przemieni. Drganie drganiu nierówne i wcale nie zależy od myślenia. Znałem pewnego ministra, który przez dwadzieścia lat próbował grać na skrzypcach, myśląc przy tym intensywnie o prawidłach gry — i poza zwykłe rzeponienie, że aż uszy puchły, nie wyszedł. Zaś jednocześnie znalazłem pewnego analfabeta, który przypadkiem otrzymawszy w spadku po swym wuju skrzypce nauczył się w przeciągu niecałego roku wcale udadnie wygrywać na nich wszystkie najmodniejsze zlagery, nie myśląc zupełnie o tym (o czym?) i nie mając tak zwanego zielonego pojęcia o żadnych prawidłach gry. Dziś jest dyrygentem orkiestry w pewnej rozgłośni.

Alę, na świętego Herman-dyde, do czegoż ja zmierzam? Czyżby rzeczywistość dur majowy uderzył mnie do głowy? I zaczynam optować za bezmyślnością? Za Boga, nie! Tylko myślę sobie, że indyk myślał i też mu uciegli. Ale czy dlatego mu uciegli że myślał? Nie, niezależnie od tego. Jego myśli w najmniejszej mierze nie wpływają na jego los, którym zawsze i nieodmiennie jest: znaleźć się w naszym żołądku. A Sokrates? Nie uciegli mu wprawdzie głowę, ale go otruli, co tylko z pozoru na jedno wychodzi. I tu, o czytelnicy moi czciogodni, dotykamy sedna sprawy. Sokrates zginął z powodu właśnie tych swoich myśli i ku pozytkowi wszystkich następnym pokoleniom, łącznie z naszym. Bo myśli myślom nierówne. I niejednaki z nich pozytek. A na czym on polega, ten pozytek z myśli Sokratesa?

Miedzy innymi i na tym, że nie były to myśli dla sa-

mych myśli lecz wartość ich mierzona była pozytkiem dla ludzkości — przede wszystkim moralnym. Bo coż z tego, że Hitler myślał? Tym gorzej dla nas. Lepiej byłoby, żeby w ogóle nie myślał. I czym się on różnił od indyka, który myślał? Tym, że myślał zbrodniczo. Co do nas, to zbyt wielu indyków za nas myśli. I stąd tyle nieszczęścia na świecie.

Jak temu zaradzić? Otóż Sokrates, sławny w starożytności filozof, chociaż był największym w świecie myślicielem, nigdy nie dowierzał całkowicie żadnej swojej myśli. Ostatecznym regulatorem i rozjemcą jego wszystkich myśli, sprawnym i ich użytkowej przydatności był tak zwany przez niego „dajmonion” czyli głos wewnętrzny, który można by nazwać intuicją, albo lepiej instynktem moralnym. Bo ostatecznie bomba atomowa, wodorowa czy megatonowa też jest produktem myśli. Ale zapobiec jej użyciu może tylko ostrzegający przed jej straszliwymi skutkami ów właśnie dajmonion, głos wewnętrzny naszego sumienia czyli samozachowawczy instynkt moralny ludzkości. Chodzi o to, że myśli ludzka musi mieć swoją miarę, swój zakres i swój cel społeczny, co nie jest równoznaczne z jej ograniczeniem. Jest to tylko zabezpieczenie przed jej groźnym chaosem i anarchią, prowadzącą do nihilizmu. W samoograniczeniu myśli leży sprawnienie jej prawdziwości. Tuwim kiedyś powiedział: „Myśleć mogę tylko tyle, ile zmieści muzyka wiersza”. Oto przykład właściwego wyuczucia miary, zakresu i uprawnień własnej myśli — myśli poety. To obowiązuje wszystkie inne dziedziny działalności ludzkiej. Bo można głęboko myśleć na płycie tematy, a płytko na głębokie — co na jedno wychodzi, czyli nawet nie na budę dla psa. Chodzi o to, żeby myślenie stosowne było do wartości tematu. A wartość jego mierzony pożytecznością, jaką może przynieść człowiekowi.

Tak oto poprzez słowika, hipopotama, ministra, analfabeta, indyka i żołądek doszedłem do Sokratesa i odwrótnie. A niechże mnie gwint jasny — niechże ze mnie pływak! Cóż, i mnie widać dur majowy uderzył do głowy.



str. 7

odgłosu

Widoki dawnej Łodzi



Kuchnia Roszkowska

Widok z archiwalnej fotografii (z ok. 1903 r.), ukazujący nam prawy narożnik ulicy Moniuszki.

Ulica ta powstała w dobie rozkwitu kapitalizmu łódzkiego (data 70 i 80 ub. wieku) z inicjatywy burżuazji miejscowej, a szczególnie dwóch fabrykantów — Meyera i Gejera. Ci dwaj potentaci przemysłowi wybudowali tu okazałe i ozdobne palace, będące imitacją stylów budownictwa, przeważnie renesansu włoskiego. Prawie wszystkie palace (zachowały się do dziś dnia), wzniesił słynny łódzki architekt — akademik Majewski.

Popularny dawniej „Pasaż Majera” — to ówczesne City Łódź. Tu obrabiali sobie schronienie bogate zagraniczne banki, instytucje finansowe i kredytowe, prasa i poczta.

Tu, w palacach fabrykantów, gdzie każda niemal sala i buduary wykonane były w innym stylu, rozstrzygały się losy fabryk i ich właścicieli, tu obmyślano coraz to nowe formy okiełzania „buntującej się robotniczej masy”.

Poza tym oficjalnym, sztywnym charakterem, ulica ta miała też i swoje „romantyczne” strony. Tu powstawały łódzkie kupteły, piosenki ogródkowe, kwitło życie kawalerskie.

W cukierniach, a w szczególności u „Roszka” — gromadziła się stale „cyganeria łódzka”, złożona z literatów, malarzy, rzeźbiarzy, dziennikarzy i inteligencji zawodowej.

Podobnie nasz Reymont pisząc łódzką powieść — „Ziemię Obiecana” — przeszedł blisko pół roku (1896 r.) w cukierni u Roszkowskiego (dziś „Łódzka”). Nie zapomni o niej i Tuwim w okresie późniejszym.

Gromadząca się tu inteligencja polska (mimo długotrwałej okupacji carskiej), nadawała ton w sprawach kulturalnych i oświatowych całego miastu, całej ludności.

ZDZISŁAW KONICKI

W JUGOSŁAWII

Jedziemy przez Węgry i w Budapeszcie mamy parogodzinny postój. Wychodzimy na miasto. Za przewodnika mamy konduktora z naszego pociągu, który podjął się pokazać nam stolicę swojego kraju. Niestety — nie zna on, poza węgierskim żadnego innego języka. Porozumiewamy się oderwanymi słowami niemieckimi i rosyjskimi oraz na migi. Jest pochmurno, chwilami pada deszcz. Ale nas to nie zraża. Wychodzimy nad Dunaj i długo stoimy na moście patrząc na płynącą w dole wodę. To tu, z tego mostu, przed wielu laty kilka zawieszonych w miłości osób skoczyło podobno do rzeki przy dźwiękach „Ostatniej niedzieli”, by ugasić na wielki pragnienie. Dunaj jest piękny, choć tego dnia nie „modry” i nie „błękitny”.

Potem stoimy przed pomnikiem Kossutha, przed pomnikiem Bema, zwiedzamy katedrę, oglądamy wystawy sklepowe, patrzymy na gmach parlamentu, snujemy się po mieście, którego nie znamy, ale do którego mamy ogromną, nie dającą się tak od razu wytłumaczyć sympatię.

2.

Pierwsze jugosłowiańskie miasto — graniczna Subotica. Jesteśmy tu o trzeciej nad ranem. Witają nas dyrektor miejscowego teatru i kilka osób z teatru nowosadzkiego, które gościliśmy niedawno w Łodzi.

W restauracji dworcowej małe przyjęcie, zakąska (jemy przysmak serbski — lepinje), rakija czyli ichnia wódka. Pierwsze rozmowy, jeszcze niepewne, zażenowane, coś jakby sondowanie gruntu.

Za parę godzin dobijamy do Nowego Sadu. Na dworcu cały bez mała zespół teatru nowosadzkiego. Powitania, pocałunki, radość; jesteśmy przecież znajomi, może nawet więcej — zaprzyjaźnieni. Pogoda piękna, słońce i ciepły wiatr.

Po kilku godzinach snu zrywamy się i lecimy na miasto. Nowy Sad również leży nad Dunajem. Dunaj w słońcu jest prawie błękitny. Po drugiej stronie rzeki stara austriacka twierdza, ale właściwe miasto jest nowoczesne, ładne, dobrze zaopatrzone. Pierwsze zerknięcie z kuchni jugosłowiańskiej. Potrawy ostre, korzenne, dużo papryki, zupełnie jak na Węgrzech. Nowy Sad jest stolicą Wojwodiny — części obszaru republiki serbskiej (Wojwodina, coś w rodzaju naszego województwa), ale prócz Serbów mieszkają tutaj jeszcze Węgrzy, Rumuni i Słowacy, którzy wydają pisma w swoich językach. Odwiedzamy radio nowosadzkie. Program nadawany w kilku językach, na drzwiach pokojów napisy: redakcja serbska, węgierska, rumuńska, słowacka. Mozaika ludów. Bardzo ciekawe.

3.

Mamy za sobą pierwsze przedstawienia: „Kram z piosenkami”, „Żywoć Józefa”, „Wizyta starszej pani”. Opuściła nas trema. Przyjęcie dobre zarówno ze strony publiczności, jak i ze strony krytyków. Nawet Borysław Michajłowicz, który jest ich Janem Kottiem, ocenił występy Teatru Nowego bardzo wysoko. Powiedział: „To jest nowoczesny teatr europejski, z „Żywotem Józefa”, powinniście pojechać do Paryża, sukces murowany”.

Pozostałe sztuki również się podobały. I aktorzy też. Krótko mówiąc: pochwalili w słowie i w piśmie. Zbięram gazety z recenzjami. Najgorzej jednak z językiem węgierskim, nie rozumiem ani słowa. Jak przyjadę, udam się do Tadeusza Fangrata, ten nam wszystko przetłumaczy. Z serbskim idzie lepiej: co trzecie, czwarte słowo rozumiem. A w ogóle porozumiewamy się wszelkimi możliwymi językami. Istna wieża Babel. Sytuację ułatwia fakt, że ani my, ani oni nie znamy języków, którymi rozmawiamy. Stąd: porozumienie pełne i całkowite. A mówili: trzeba było uczyć się w szkole francuskiego. Nie słuchali. Trudno, za późno.

4.

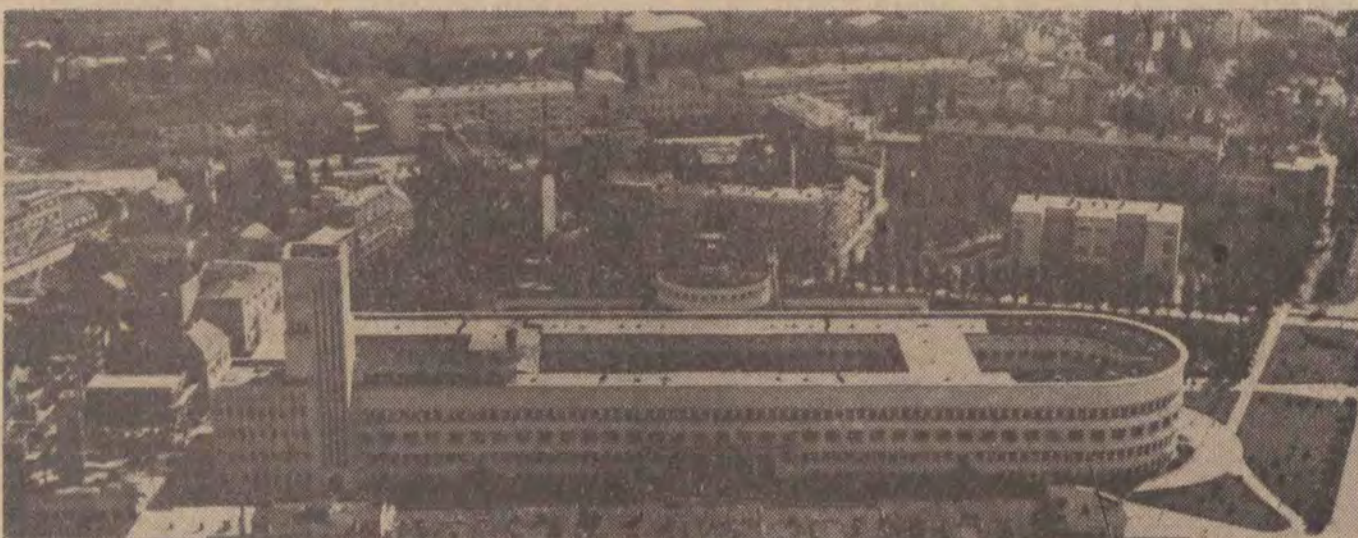
Z Nowego Sadu przybierzemy do stolicy Jugosławii — Belgradu. Belgrad uderza nas swoją nowoczesnością. Jest na wskroś europejski. Dużo aut rozmaitych kształtów i fasonów. W kiosku ulicznym widzę gazety zachodnie: „Die Welt”, „Le Monde”, „The New York Times”. Oskoma mnie bierze, ale nie kupuję. Oszczędzam dinary, nie mam ich przecież za wiele. Zaczynamy orientować się w cenach. Zycie w Jugosławii drogie, artykuły spożywcze droższe niż u nas. Tanie; futra, skóry, owoce południowe. Buty w dużym wyborze i efektowniejsze od naszych, może nawet nieco tańsze.

Zjawia się Stanisław Kaszyński — lektor języka polskiego na uniwersytecie belgradzkim — z Łodzi. Pomaga, ułatwia, oprowadza nas po mieście. Belgrad położony na wzgórzu nad rzeką Sawa, która nieopodal wpada do Dunaju. Mój Boże, wszędzie ten Dunaj. Piękna rzeka. Teraz rozlała, jest szeroka, majestatyczna i wspaniała. Mieszkamy w dwu hotelach: „Moskwa” i „Astoria”. Nigdy nie przypuszczałem, że będę jednocześnie w Belgradzie i w Moskwie.

Wraz z Władysławem Orłowskim składamy wizytę w redakcji „Borby”. Pracują systemem amerykańskim: wszyscy redaktorzy w jednym olbrzymim pokoju. Orłowski: „Może by wprowadzić to u mnie? Miałbym bractwo redakcyjne na oku”. Po chwili: „Nie, nie wprowadzę tego”. Redaktorzy „Borby” mili i sympatyczni. Interesują się Polską, Łodzią, znają naszą literaturę. Psiakrew: oni wiedzą więcej o nas, niż my o nich.

Przyjęcia, dużo przyjęć. U ojca miasta — Djuricia Jojkicza, w biurze współpracy z zagranicą, na czele którego stoi znany pisarz i eseista Marko Ristić, wreszcie cocktail-party w ambasadzie polskiej przy ulicy Kneza Milosza. Nasz ambasador Henryk Grochulski cieszy się tutaj dużą sympatią. Przychodzi na nasze przedstawienia. Rozmawiamy z nim, chwali nasze spektakle.

Na ostatnim przedstawieniu „Łaźni” wiele znakomych gości: wiceprzewodniczący FRJ — Rodolub Czolaković, najznakomitszy reżyser jugosłowiański — Bojan Stupica, krytyk angielski — Ossia Frilling, przedstawiciel dyplomatyczny różnych krajów, no i oczywiście krytycy, którzy dyskutują w kuluarach, za



Nowy Sad

najlepsze z widzianych dotychczas u siebie występów zespołów zagranicznych uważają teatry: angielski Oliviera, francuski Viflora i polski Dejmka.

5.

Droga do stolicy republiki Macedońskiej — Skopje prowadzi wśród gór. Jedziemy przez dwadzieścia cztery tunele. Liczyliśmy razem z Edwardem Csato, więc się zgadza. Macedonia — to już zupełnie inny obszar kulturowy. Znajdujemy się w odległości 130 kilometrów od granicy greckiej. Skopje leży nad rzeką Wardar. Świat orientalny. Na ulicach Turcy w fezach, Turczynki w szarawarach, Grecy, Albańczycy, no i rzecz jasna Macedończycy, którzy stanowią przytłaczającą większość. Polyskują w słońcu wieże meczetów. Muezzini śpiewają swoje monotonne modlitwy. Ciekawość wiedzie nas do świątyni. Musimy zdjąć buty i wejść w skarpetkach. Klekamy i bijemy czołem o podłogę. Taki zwyczaj, nie można się wylać. Chodzimy po starej części miasta. Ktoś mówi, że tutaj żyją jeszcze Turcy, co mają po dwie żony. Dejmek na to: „Dobrze im tak”. Denerwujemy się, bo sklepy ciągle zamknięte i nie można kupić. Ale nie na to nie poradzimy. Tu święto pierwszomajowe trwa cztery dni: 1, 2, 3 i 4 maja. Ludzie tańczą na rynku w takt bębnow i piszczałek swój ulubiony taniec „Kolo”.

Oglądamy występy Macedońskiego zespołu pieśni i tańca. Jesteśmy zachwyceni. Ten zespół powinien przyjechać do Polski. Zrobiłby furorę, podobnie jak u nich nasz „Śląsk” czy „Mazowsze”.

6.

Występy w Skopje zakończone. Przez Belgrad, Nowy Sad i Subotice wracamy do kraju. Jeszcze nad jeziorem Pałic ostatnie spotkanie pożegnane. Zawarliśmy przyjaźń z Jugosłowianami. Prawdziwa, nie konwencjonalna. Jugosławia — to piękny kraj, a ludzie tam obdarzają nas szczerym zainteresowaniem i sympatią. Bliskie są nasze dzieje i nasze losy. Tę prawdę wywodziem z gościnnej ziemi jugosłowiańskiej. Nie ja jeden. My wszyscy.

KOMUNIKAT

Czytelnicy wyjeżdżający na wczasy mogą sobie zabezpieczyć dostawę swego bismu do miejsca pobytu wpłacając kwotę prenumeraty na konto P.U.P. i K. „Ruch” — PKO — Łódź 7-6-579 z wymienieniem tytułu pisma.

Wyd. Prasowe „Prasa Łódzka”

GOLONO — STRYZONO * GOLONO — STRYZONO

OCHRONA

Dowództwo lotnictwa brytyjskiego wysłało z baz w NRF i Anglii cztery odrzutowce, które udały się do Hondurasu brytyjskiego, aby zapewnić bezpieczeństwo księżniczce Małgorzacie w czasie jej pobytu w tym kraju. Rząd brytyjski otrzymał bowiem informacje, iż Gwatemala, roszcząc sobie od dawna uzasadnione pretensje do brytyjskiego Hondurasu, zamierzała dokonać ataku lotniczego na świąteczny pochód w stolicy Hondurasu, Belize, jaki miał się odbyć z okazji wizyty księżniczki.

FRANCO O KOBIECIACH

Dyktator Franco tak niedawno określił żonę idealną: „Musiał być punktualna jak zegarek, przywiązana do domu jak ślimak i podobnie jak echo musi odpowiadać tylko wtedy, kiedy ją się pyta. Ale w przeciwieństwie do zegara nie może być stykać w całym mieście, kiedy się odzywa, w przeciwieństwie do ślimaka nie może nosić na sobie wszystkiego co posiada i wreszcie, w przeciwieństwie do echa, nie może ona mieć nigdy ostatniego słowa. Krótko mówiąc, ma to być idealny robot”.



HOBBY MINISTRA

Angielski minister obrony Duncan Sandys jest zapalonym szermistrzem. Specjalizuje się on szczególnie w numerze polegającym na przepilnowaniu kobiety w zamkniętej szkrzyni. Sandys twierdzi, że przepilnował już wiele pań z najlepszego towarzystwa.

PLASZCZYZNA JEDNOŚCI

Ostatnio, ażeby nie akcentować drastycznie różnic pomiędzy trzema frakcjami parlamentarnymi w niemieckim Bundestagu (CDU, SPD, FDP) — trzy ekspresy do kawy, należące do poszczególnych frakcji, zostały zastąpione jednym, ponadpartijnym automatem kawowym.



ZŁOTA MYŚL

„Drugi ślub rozwiedzionych — powiedział aktor amerykański, który poślubił ponownie żonę, z którą się rozszedł — jest zwycięstwem nadziei nad doświadczeniem”.

DEFINICJA

Niedawno w Cadenabbii nad jeziorem Como odbywało się zebranie pisarzy włoskich. Podczas przyjęcia ktoś zadał pytanie: „Cóż to jest właściwie poligamia?”. Na to Carlo Bo, znany pisarz, odpowiedział nie podnosząc głowy: „Przeciwieństwo do monotonii”.



Dowód Osobi Gustaw Adolf Bernadotte król



ZIMNA KREW

Król szwedzki Gustaw VI Adolf przyjął niedawno na audiencji grupę amerykańskich dziennikarzy. Jeden z reporterów zawołał wchodząc do sali: „Halo, mister King, właściwie jak się pan nazywa?” Monarcha zachował zimną krew i odpowiedział dziennikarzowi: „Bernadotte, rzecz jasna”.

KŁOPOTY

W ciągu ostatnich trzech lat szybkość obrotu dziennego ziemi zmalała podobno o 0,0012 sekundy na dobę. W związku z tym uczeni żywią poważne obawy, że za 5 miliardów lat ziemia przestanie się obracać.

DOWCIPY PREZYDENTA

Prezydent Eisenhower znany jest ze swojego dowcipu. W czasie przyjęcia w Białym Domu jeden z gości zwrócił się do prezydenta z prośbą o miejsce po zmarłym urzędniku Departamentu Stanu. Eisenhower odparł na to: „W tej sprawie musi pan porozmawiać z zarządem cmentarza”.

ZADANIA

Ostatnio zreszezenie nudystów w Anglii wystąpiło wobec władz z postulatem wydania zakazu używania strojów kąpielowych. Złaniem nudystów, zanieczyszczenie wód spowodowane jest w 60 procentach bakteriami przenikającymi z kostiumów kąpielowych.

aspazja

ILUSTR. J.BIS-GRATKOWSKI



STRESZCZENIE:

Na Marsa wyruszyła z Ziemi rakietą międzykontynentalna. Na satelicie Marsa, Deimosie uczestnicy wyprawy odnaleźli grobowce pszczoł. Czyżby społeczeństwo Marsa było owadzie? Ostrożni uczestnicy wyprawy nie od razu lądują na Marsie, lecz wysyłają najpierw dwa mechanizmy tzw. „Wesołe Krety”. Jeden z nich nie powrócił.

Naradę zwołali profesor Carrocci — zwolennik użycia środków radykalnych.

— Rubikon został przekroczony — rzucił ostro. — Pszczoły zniszczyły dwa nasze Wesołe Krety. Proponuję odpowiedzieć im jedną bombą subjądrową typu A. Następnie zaczekać. Może się jakoś ujawnia.

— Jestem innego zdania — oświadczył profesor Townsend. — Są to istoty zupełnie odmienne od nas, ale jeśli umiały stworzyć własną cywilizację, a na to wygląda, to musi być jakiś sposób porozumiewania się z nimi. Tym sposobem jest logika... matematyka. Nie może być wątpliwości, że są to istoty logiczne i matematyczne. Proponuję więc szukać z nimi porozumienia na tej drodze.

— A ja — rzekł admirał — nawet nie jestem tak bardzo przekonany, że zaginięcie naszych Kretów świadczy o tym, że Marsjanie, są, i że właśnie oni zniszczyli Krety. Mogły być inne przyczyny. W każdym razie przychylam się do stanowiska profesora Townsenda. Nie chodzi o zniszczenie, chodzi o zbadanie.

— I ja sądzę — odezwał się zwykle milczący profesor Jose Cabarra, przełożony naszych automatów i maszyn liczących — że musimy uczynić próbę jakiegokolwiek porozumienia się z nimi. Trzeba im dać znać, że nie mamy wrogich zamiarów. Popieram propozycję profesora Townsenda.

— Dobrze w tej chwili nie przypominam sobie — zaznaczył profesor Jejack — ale któraś z naszych wypraw opracowała przecież pewien prymitywny kod. Były to różne figury geometryczne i proste twierdzenia.

— Tak — potwierdził Wanke — tylko że wtedy nikt nie przypuszczał, że będą to owady. Do owadów trzeba podchodzić chyba jakoś inaczej.



— No cóż — włączył się do dyskusji profesor Cronenstaem — możemy sobie mniej więcej przedstawić, co działa na pszczoły. Będą to kolory. Wiemy, że nasze ziemskie pszczoły doskonale rozróżniają kolory. Mogą to być jakieś zapachy — na tym też się pszczoły doskonale znają, i, oczywiście, smaki — słodkie smaki — to też pszczoły lubią.

— Ja myślę — powiedział doktor Freyd — że należy wysłać dwie nasze Agi. Niech one ciągną za sobą długie, kolorowe taśmy jedwabne. Chyba coś takiego u nas się znajduje. Mogą być jakieś kolorowe figury geometryczne — trójkąty, kwadraty, sześciąty, kola.

— Trzeba im do tego dodać trochę miodu i żeby ten miód pięknie pachniał akacją — dorzucił śmiejąc się kapitan Sambaba.

— Kiedyś czytałem — odezwał się inżynier Kierst — że biały kolor wpływa na pszczoły kojąco.

— Dobrze — zgodził się admirał Hill. — Wyślemy, ale tylko jedną naszą Agę, przybraną w te wszystkie kolory i figury. Niech lata nad powierzchnią z szybkością jakichś 500 km na godzinę i powiewa tymi kolorami. Może dadzą jakąś odpowiedź.

Aga I, ozdoba jak drzewko choinkowe, latała cztery dni. Marsjanie nie dali najmniejszego znaku życia. Od czasu do czasu Aga wypuszczała całe pęki wspaniałych fajerwerków. Kiedy indziej rozstrzykała dymne zastony kolorowe. Było na co popatrzeć.

Można przypuszczać, że Marsjanie siedzą cicho, czekając, aż znudzi się nam unoszenie się nad nimi i... wylądujemy. Wtedy rozprawią się z nami po swojemu. A może czekają, że damy spokój tej wyprawie i odleciemy z powrotem.

Być może również, że... w ogóle ich nie ma? Nie mamy dotąd zupełnie przekonujących dowodów, że są...

Nasi piloci: kapitan Sambaba, inżynier Kierst i major Safranow chcą losować — i jeden z nich na ochotnika oblicz w Adze część powierzchni Marsa. Admirał jednak nie chce się zgodzić na takie ryzyko.

Wysłaliśmy Agę zaopatrzoną w atomowe przyrządy akustyczne. Jeśli Marsjanie mają uszy — musieli ogluchnąć. Ten ryk, gwizd, pisk, zgrzyt, bębnienie



i grzmocenie przypomina działanie tysiąca baterii artylerii jądrowej. Nie wiadomo czy ogluchli, czy nie ogluchli — niczym nie dali tego po sobie poznać. My na szczęście byliśmy od tej Agi oddzieleni warstwą próżni, tak, że tego całego hałasu nie słyszeliśmy.

Wyprodukowaliśmy w naszym warsztacie naprawczym tysiące małych kolorowych krążków z plastyku; było to coś w rodzaju confetti; rozrzuciliśmy te krążki po Marsie, ale też bez żadnego wyniku.

Profesor Carrocci jest zdania, że po jednej nawet słabej bombie jądrowej od razu nabiorą ochoty do porozumienia się z nami. Większość naszej załogi jednak nie chce o tym słyszeć. Admirał też jest przeciwnikiem takiej metody.

Zachodzi pytanie, co robić, jeśli nie uda się z nimi porozumieć? Wracać? Jeszcze trochę pozostać? Lądować? Ciągle nad nimi latać?

Z Ziemi nadchodzą tysiące różnych rad, zapytań i nawet wyrzutów. Admirał polecił mi, abym to wszystko selekcjonował i tylko to podawał do ogólnej wiadomości, co przedstawia jakąś wartość. Istotnie — wszyscy są zdenerwowani i podnieceni — po co więc dolewać jeszcze oliwy do ognia?

Przesunęliśmy się na biegun północny i na wniosek profesora Carrocci zrzuciliśmy tutaj kilka bomb petardowych o bardzo słabej sile działania, natomiast o wielkim ogniu, huku i dymie. Żadnego rezultatu.

Ta sytuacja zaczyna wszystkich już nie tylko nużyć, ale po trosze i nudzić. Oddajemy się różnym rozrywkom. Gramy w szachy, brydża, bilard; urządzamy konkursy, wyświetlamy filmy, słuchamy koncertów, gimnastykujemy się, uczęszczamy na sparringi bokserskie Pierra z Alim, bawimy się ze zwierzętami, bywamy w ogrodzie profesora Wanke. Mimo wszystko trwa to jednak już zbyt długo.

Dziś z rana zaszedł do mojej kabiny nadawczej mój przyjaciel profesor Victor Pilatti. Usiadł na fotelu. Jego brzydka twarz była miła i pociągająca. Promieniowała z niej wielka siła duchowa tego człowieka.

— Żegnaj, Lek — powiedział. — Odlatuję na Marsa. Podskoczyłem.

— Czyś ty oszalał? — krzyknąłem. — Szukasz śmierci? (d.c.n.)

U VADIS FRANCJO?

Dokończenie ze str. 4

telefonicznych i telegraficznych zgodni są co do tego, że w rozgrywanym się w Paryżu i Algierii dramacie chodzi o coś więcej niż o zwycięstwo rządów parlamentarnych czy dyktatury wojskowej we Francji.

Objęcie władzy przez gen. de Gaulle musiałoby oznaczać zmiany w polityce algerskiej. Możliwe są tu dwa rozwiązania: albo rozszerzenie wojny algerskiej, co musiałoby doprowadzić do konfliktu z USA, które dążą do kompromisu — albo kompromis ze strony Frontu Wyzwolenia Narodowego Algieru i uznanie aurytetu generała de Gaulle. Warto przypomnieć, iż powstający algercy od chwili oświadczenia de Gaulle zaprzestali działań wojennych a Bourquiba oficjalnie go poparł. Północna Afryka trwa więc w oczekiwaniu.

astanówny się teraz nad szansami gen. de Gaulle

De Gaulle mógłby działać jedynie w oparciu o prawię i między innymi w oparciu o faszystowskie organizacje. To zobowiązuje. W perspektywie zaś generała de Gaulle zastąpić mogą już jawnie faszystowskie siły. Głos narodu będzie bowiem stłumiony.

Kończy się we Francji okres rządów „środką”, rządów bezwładu. Zaczęła się rozgrywka i wydaje się, że w najbliższej przyszłości istnieje jedyna alternatywa: albo rządy gen. de Gaulle'a, albo rządy lewicy.

Prawdziwi przyjaciele Francji, a wśród nich Polska, związana z Francją węzłami historycznymi i kulturalnymi, życzy jej oczywiście rządów lewicy.

Dlatego właśnie rozumiemy komunistów francuskich, którzy wołają: Francji zagrożą faszysty! Bronicie republiki. Czy dojdzie do zjednoczenia sił lewicy, do powstania Frontu Ludowego? Jak dotąd — trudno na to pytanie dać pozytywną odpowiedź. Lecz wypadków przesądzać nie należy, walka o Francję bowiem trwa.

JOZEF LEBENBAUM



Nowości Wydawnictwa Łódzkiego

Graża Deledda: ANNELENA BILSINI, przekład Leopolda Staffa, s. 185, zł 6,90.
BIBLIOTEKA POETÓW — 1937 9 tomików poetów łódzkich, płóc. obwol., zł 30.
Karol Lamb: CZARY PROSPERA, powieść Szekspira, s. 331, obwol., zł 16.
Stanisław Czernik: WICHURA, s. 107, obwol., zł 6.
Walter Scott: KENILWORTH, tom I — Tajemnica opactwa, s. 265, tom II — Na zamku, s. 265, t. I/II, zł 30.
Wkrótce ukażą się: Aleksander Dumas (ojciec): ANOŁ PITOU, trzecia część cyklu „Pamiętniki lekarza”, t. I/II, zł 35.
Helena Duninówna: GAWĘDY O DAWNEJ ŁÓDZI, obwol., zł 12.
RZECZ POETYCKA — TROZWIKA PRZYGODA PANA OGORKA, ilustr. książka dla dzieci, s. 24, zł 5.
Bogusław Sułkowski: NIE BOGOWIE, powieść dla młodzieży, s. 437, ilustr., zł 25.

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH F. P. „DOM KSIĄŻKI”,

NASZA KRZYŻÓWKA

1	2	3	4	5
6	7	8	9	10
11	12	13	14	15
16	17	18	19	20

ZNACZENIE WYRAZÓW

Pozłomo — 1) Zbieracz etykiet pudełek od zapalek, 2) stopień oficerski, 3) Rzemieślnik, 4) Imię meskie, 10) Zabawa, 12) Firtina zegarków lub litera grecka, 13) Muza pieśni miłosnej, 14) Choroba, 15) Chwast, 16) Sztuć do przesiewania mąki, 19) Niewiasta, 20) Analiza własnych czynów i przyczyn.
Płonowa — 1) Budowa określona i zdani wykwintnych lub cza gadanina, 2) Kawalerzysta, 3) Imię żeńskie, 4) Mityczny bohater, 5) Badanie dzieł kultury ludzkiej na podstawie zabytków, 6) Właderko, 7) Pierwszy raz podawana potrawa sezonowa, 10)

Restauracja, 11) Medykament, 13) Jon ujemny, 17) Totalizator sportowy, 18) Melak.
Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni

Rozwiązanie Krzyżówki Poziomej — Spektroskop, morwa, ruski, sto, tupek, miano, liżus, kolor, iwa, gamma, Staff, astrofizyka.
Pionowa — Somatologia, europ, toast, ogrom, kusza, petrografia, emu, two, zamęt, siano, kaski, liany.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1) Jola Stolińska, Łódź, ul. S. Jarczka 83 m. 22, 2) Sabina Kamińska, Łódź, ul. Wolności 10 m. 26,

CHON DAY albo przygody brata Sebastiana

Przed trzema tygodniami, omawiałem już twórczość rysownika angielskiego, który podobnie jak Chon Day, szuka natchnienia za furta klasztorną. Leslie Starke nie interesował się, jednak indywidualnymi sylwetkami zakonników. Inaczej Amerykanin Day — ten sobie upatrzył w klasztorze jednego bohatera — i o jego przygodach opowiada w obszernym cyklu żartów ry-

sunkowych. Od lat publikuje w magazynie „Look” dowcipy o bracie Sebastianie, większość ich ukazała się także w wydaniu książkowym.

Księża i zakonnicy, to łakomy temat dla humorystów całego świata. Nierzadko są to żarty bardzo zjadliwe, wyraźnie antyklerykalne — szczególnie często publikowane w katolickich Włoszech. Może najostrożniejsi

są w tej materii rysownicy polscy...

Lecz Chon Day nie ma w sobie nic z zaciętości wujającego ateisty. Brat Sebastian jest postacią z gruntu sympatyczną, ujmującą tak jak Mały Król — Soglowa lub Profesor Filutek — Lengrena. Rzecz polega na tym, że bohater Daya wnosi w świat surowych reguł zakonnych — elementy świeckie. Ustawicznie coś majstruje, naprawia ulepsza. W języku naszego kraju i epoki można go nazwać nawet... racjonalizatorem. Jest w nim jakaś dobroduszość — i co najważniejsze — poczucie humoru. Pomysł Se-

bastiana są zawsze dowcipne.

Podobnie pomysły Chon Daya, Rysownik ten nie ogranicza się do realizacji przygód braciszka zakonnego, ale tworzy ogromną ilość żartów na inne tematy. Drukuje je w tygodniku „New Yorker”, w którym debiutował przeszło 20 lat temu. I jak w cyklu o Sebastianie — cechuje je ten sam pogodny, łagodny, dobroduszny humor.

Nie znam fotografii amerykańskiego rysownika. Ale nie mogę się pozbyć myśli, że brat Sebastian jest jego autoportretem.

J. W.



HORACY SAFRIN

Światliki

Złe, gdy niewiasta się starzeje.
Gorzej, gdy tego nie zauważa.

Nie ma kobiecy o tak słabym wzroku,
żeby nie dostrzegła zmarszczek na szyi swej najlepszej przyjaciółki.

Rzekłem do młodego pisarza:
„Wczoraj, w gronie przyjaciół, wymieniliśmy twoje nazwisko. Okazało się, że nikt ciebie nie zna...”
„Wiesz — zawołał radośnie — to samo wydarzyło się Zeromskiemu na stacji Dubno w 1923 roku!”



TADEUSZ GIGIER

FRASZKI

DZISIAJ...

Dzisiaj w Polsce co poranek rodzi się kilka Saganek, co godzina zaś za łaską nieba — jakiś mały Hlasko.

TWÓRCA DZIECIĘCY

Ten najwięcej dzieciom kleci, który nie wie, co to dzieci.

HEJŻE, INO...

Hejże, ino, fijołeczku leśny, ty o sławie orchidei nie śnij!



JAN CZARNY IX

Historia w Bzdurowia wa fraszkach i obrazkach

ARCHITEKTURA

W Bzdurowie buduje się wiele altanek ze sztucznych muszelek



Takim już jestem prymitywem

Lubię chodzić do cyrku. Takim już jestem nieokrzesanym prymitywem, że wolę chodzić do tego teatrzyku różności, patrzeć z otwartymi ustami na ewolucje kłownów, ich żarty akrobacyjne i żonglerskie, słuchać ich rubasznych dowcipów, niż siedzieć w czwartym rzędzie teatru, zaglądać paniom za dekolt, wdychać ich przemieszane z potem krajowe i zagraniczne wonności, udawać, że rozumiem, co mówią do mnie bohaterzy sztuk Giraudoux, a nie rozumiem, co chce powiedzieć swej pięknej przyjaciółce obrzydliwy dyrektor zaopatrzenia, gdy gładzi drzącymi palcami jej wypylegnowane łśniące kolanko.

Takim już jestem prymitywem. Róbcie ze mną, co chcecie; wymyślajcie mi od gruboskórnych nosorożców, tępych hipopotamów, zblazowanych cyników, ja te obelgi przetrzymam.

Przetrzymam, gdyż dobrze wiem, jaką wagę dla mnie i dla was ma ta brezentowa buda ze swą stajenną wonią, światłkami migotającymi na nabitych cekinami sukniach pomalowanych wołtyżerek, światłami jupiterów, fałszującą orkiestrą, w dźwiękach której kołyszą się u samego stropu młode, krzepkie dziewczęta o nóżkach śmielejszych niż wazszych przereklamowanych Bardotek.

Ala do rzeczy. Felieton nie po to przecież został wynaleziony, aby głądzić tylko na jeden temat.

A więc jesteśmy w cyrku. Na arenę wchodzi dryblas w dyplomatycznym fraku.

Dryblas ma ryżą czuprynę, ryżę brwi, ryżę owłosienie na rękach, długą, bladą szyję, pokrytą ryżymi kępkami włosów, słowem: wszystko u tego człowieka jest ryżę z wyjątkiem tego otworu. — co mówi, mianowicie ust. Dryblas jest człowiekiem współczynnym. Przypomina publiczności o obowiązku wyłączenia grzałek w okresie szczytowego zużycia prądu, regularnego wpłacania składek na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy i wywijając biczem, zapowiada numer z lwem.

Z kolei odzywa się orkiestra, gra nastrojowy utwór, przypominający kościelne egzekwie, znowu rozlega się przerażający trask bicz i naganiacze wpychają na arenę coś co w dawnych czasach, gdy przez Saharę nie przejeżdżały ciągniki, przprawiało Beduinów o waleczną palpitację serca, przsadało pieciometrowe płoty, zabijało wółu jednym uderzeniem łapy.

To coś, oślepię blaskami areny, mruży oczy, otrząsa się z pcheł, kładzie się na piasek, aby nadal kontynuować swój sen — o dzunglach, antylopach, przychodzących nocą do wodopoju, o srebrzystych rzekach, gdy oto, smagnięte biczem w najbardziej czule miejsce — pogromcy, naganiacze, ich wprawni naśladowcy... woźnice znają te miejsca na pamięć — zrywa się i patrzy przełknięm wzrokiem w twarz swego prześladowcy.

„Czego pan ode mnie chce? — mówi pytającymi oczyma. — Czy ja panu przeszkadzam w spaniu?... Przychodzę do pana z biczem i wypędzam na arenę?... Głódzę cię przez cały dzień, abys wieczorem za cenę obrzyneków z rzeźni otwierał swe usta i ryczał na me skinięcie?... A czy sądzi pan że trzeźwo myśląca współczesna młodzież coś sobie robi z tego ryku?... Nie uważa go za nałwy cyrkowy bluff?”

Ala publiczność żąda emocji i krwi. Zbyt długo ciągnące się pytania lwa przylete zostają ksykaniami i przyciszonym gwizdem. I oto dryblas w dyplomatycznym fraku, trzykrotnym smagnięciem bicza, zmusza lwa do

spaceru a potem do blegania.

Zwierz uważając na każdy ruch bicza, obiega arenę, posłusznie jak ratlerok, zatrzymuje się, kuli i — potraktowany trzaśnięciem w podbrzusze — wskakuje na stół.

Teraz ma chwilę spokoju. Przeczekawszy burzę oklasków, wywija niecierpliwie swym krowim ogonem, obliżuje się, przeskakuje na następny stołeczek.

Za chwilę za cenę zepsutego końskiego mięsa po spektaklu, a może i zdechłej kury, zwierzę przeskakuje przez obręcz, siada na środku areny, wciąga w nozdrza zapach dochodzący z budy cyrkowej i wyrzuca z swych wnętrzości mrozący krew w żyłach ryk głodu, dobrze wam znany z obozów.

Pogromca smagnięciem batoga przegania zwierzę wokół areny, aby zapomniało o głodzie i na pożegnanie pozwolilo włożyć sobie w paszczę czuprynę, ryżę brwi, ryżę bokobrody, ryżę kępki włosów na długiej jak kondora szyi i otrzymać miast końskiego mięsiwa nowy grzmoł oklasków, który wcale nie jest wspomagany przez tych, co stoją za płachtami, i chociaż nie widzą nic, cieszą się, że nie widzą.

Po numerze z trzykrotnym włożeniem głowy w paszczę, zwierzę obnosi po arenie koszyk ze sztuczną wędliną, lasi się przymilnie do widza, zajądającego bułkę z szynką, jestem przekonany, że za nędzny plasterk kielbasy król pastyni gotów jest spełniać najpodlejsze usługi, wozić niemożliwe w wózku, przepierać pogromcy skarpetki, służyć na jednej nodze.

Oto do jakiego poniżenia doprowadziłyśmy chlube tajemniczej Afryki, świecąca triumfem w herbach tyłu państw, starych rodów, do takiej samej degeneracji przywiedliśmy potomka dzikiego tarpana... konia, potomkinie dzikich kozłów górskich — kozę, słońca, psa, kota, królika.

Nie wierzę w naturalny upadek gatunków, kataklizmy, wzajemne pożeranie się, recesywne wynieranie ras!... To człowiek doprowadził do upadku mamuta. W niepomaganym pędzie do panowania, tak urządził mamuty, jak urządził Indian, Murzynów, Inków... Wierzę! Gdy patrzę na zwierzęta pociągowe, wciąż stoi przed mymi oczyma zdekompletowana czupryna nienawidzącego ludzi Schopenhauera, który całe cywilizacyjne posłannictwo kolei widział tylko w tym, że odciąża ono zwierzęta juczne i pociągowe.

Powiedziałem na wstępie, że lubię chodzić do cyrku. Tak, lubię. Takim już jestem prymitywem! Róbcie, co chcecie; wymyślajcie mi, wytykajcie mnie palcami, ja Was na pewno przetrzymam.

Zygmunt Fijas

ZA TYDZIEŃ:
RAYMOND PEINET
albo poetyczny „Krotikon”



odgłosy

str 10

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE.

Poszukując zabójców swego przyjaciela, Pronobisa, poeta Nataniel i publicysta Tomasz — przybywają do pałacu w Borowie, gdzie wypoczywa grono intelektualistów. W nocy ginie jedno z cennych dzieł sztuki, następną jest kradzież powtarza się. Złodziejem jest ktoś z borowskiego towarzystwa: Milicja nie pozwala oddać się z pałacu i prowadzi śledztwo. Lecz malarz Borówko łamie zakaz i na chwilę opuszcza pałac w bardzo tajemniczych okolicznościach. Tomasz zachwycając się pięknym portretem Anny Orzelskiej, córki Augusta Mocnego, wysłuchuje od Nataniela jego negatywnego sądu o kobietach. Dochodzi między nimi do kłótni.

Ogarnęło mnie przerażenie. U licha, jeszcze nas tu zobaczą w tej dziwacznej pozie. Lecz Paniuszka zrozumiała (nareszcie) niestosowność podobnej sytuacji i zaczęła odyskać równowagę swego chuderlawego ciała.

Było to — jak już opisywałem — brzydkie i dziwacznie kostropate stworzenie o niechlujnie uczesanych włosach, garbatym nosie, chude i wysokie. Jedyną cechą dodatnią stanowił jej dość pokazywany biust — ale to już rzecz dla znawców.

— Wraca pan pewnie z biblioteki? Pracował pan? — pytała oddychając pośpiesznie.

— Nie, łaskawa pani — rzekłem uprzejmie, naśladując mistrza Nataniela. — Przebywałem w „czerwonym salonie“ delectując się urodą Anny Orzelskiej.

— Piękna kobieta, prawda? — powiedziała wzgardliwie, prawie obrażona.

Ciągle gorzała we mnie wściekłość na Nataniela, ale przecież równocześnie nie przestawały dreczyć mnie jego idiotyczne nauki: „Kobiety tak są próżne i łatwowierne, że najbrzydsza nie zdziwiłaby się, gdybyś jej powiedział, że jest piękna jak Venus“... „Gdy kobieta jest ładna — chwal jej urodę; gdy brzydka wygaduj o brzydocie innych kobiet“...

— Łaskawa pani — powiedziałem ciepło — urodę Anny Orzelskiej znalazłem bardzo przereklamowaną. A poza tym nie wolno zapominać, że portret jej powstał w pierwszej połowie XVIII wieku. Orzelska miała by dzisiaj ponad 200 lat, byłaby staruszką, brzydką i pomarszczoną pra-pra-prababką. Podziwiać jej urodę dzisiaj, na podstawie portretu, to znaczy widzieć rzeczy statycznie, metafizyczne, a nie dialektycznie — w rozwoju, w starzeniu się i obumieraniu, w pełni świadomości, że od tamtych czasów minęło ponad 200 lat i uroda Anny niezawodnie rozsypała się w proch i pył.

— Oooooo! — pisnęła radośnie Paniuszka z Wydawnictwa.

— Poza tym, łaskawa pani, kobieta ta była jednostką amoralną, jak zresztą cała klasa feudalnych posiadaczy i wyzyskiwaczy, piętno zaś tego posiadania i wyzyskiwania odzwierciedliło się w jej rysach. Twarz Anny Orzelskiej nie jest piękna w sposób bohaterki, wspaniałej i szlachetnej, lecz razi niezdrowym erotyzmem, zalotnością, która równa się pruderii tak charakterystycznej dla klasy społecznej, z jakiej się Orzelska wywodzi.

— Oooooo! —

— Poza tym, łaskawa pani, jeśli przychodzi mi zestawiać jej urodę z urodą naszych współczesnych dziewcząt, których i pani jest nieodrodną przedstawicielką, pozwól sobie zauważyć pewne zasadnicze różnice, świadczące o tym jak daleko odeszliśmy od tamtej zgnitej, rozpadającej się epoki samowoli szlacheckiej. Różnice te świadczą na korzyść naszych dziewcząt, których i pani jest nieodrodną przedstawicielką.

— Och, panie Tomaszul...
Spójrzawszy krytycznie na kostropatą figurę Paniuszki, mówiłem dalej z przymkniętymi oczami:

— Nasze dziewczęta są wysmukłe, szczupłe, wysportowane. Krągłość ramion Anny potwierdza jej niezdrowy tryb życia. Nasze dziewczęta, zdrowe moralnie i fizycznie, patrzą mężczyznom prosto w oczy bez zalotności, są one bowiem równoprawnymi oby-

watkami, świadomymi swych celów i zadań. Zalotność kobiet tamtej epoki wynikała z sytuacji w jakiej żyły, sytuacji zabiegania o łaskę mężczyzny, który miał większe niż one prawa. Piękne ręce Anny Orzelskiej przestają być piękne, gdy się pomyśli, że nie żyła ona z pracy rąk własnych, lecz z wyzysku i ucisku klasy nieposiadających.

— Och, panie Tomku...
— Kształtu nóg Anny Orzelskiej nie widziałem, bo ukrywa je obfita sukienka. W tamtych czasach wiele musiało ukrywać, szczególnie przed klasami nieposiadającymi. Natomiast nasze dziewczęta nie mają co ukrywać, oglądamy ich nogi aż do kolan. Pani nogi są bardzo zgrabne. Co zaś do biustu...
— Może usiadziemy, o tutaj... na tej kanapie — wzięła mnie za rękę Paniuszka z Wydawnictwa i poprowadziła w głąb hallu, gdzie w mrocznym kąciuku (światło skąpo spływało tu z okna w suficie) stała kanapka.

— To bardzo ciekawe co pan wywodzi, Tomaszul...
Osiadłem sobie dłońmi oczy, skupiając myśl.

— Dokąd to ja doszedłem?
— Do biustu, panie Tomaszul.
Wtem, jak „deus ex machina“, niedostępalnie zjawił się przed nami w miękkich pantoflach nocnych redaktor „Horizontów“.

Na jego szarej i zazwyczaj tak nieciekawej twarzy tym razem widniała wielka powaga i troska. Nim przemówił, uczynił w mym kierunku tajemniczy gest ręką.

— Szukałem pana po całym pałacu — obwieścił tajemniczo. — Czy może mi pan udzielić chwili czasu dla osobistej rozmowy?
— Oczywiście... oczywiście — gorliwie zerwałem się z kanapy. Rozglądając się po

hali natrafiłem wzrokiem na wypełnione książkami szafy angielskie (także w stylu „Jacob“) i radośnie upozorowałem kłamstwo. — Poświęć panu chwilę czasu, choć z panią tak miłe gawędziłem o książkach.

Paniuszka grzechnie przytaknęła. Przy drzwiach do mego pokoju (bo tu zdecydowałem się odbyć osobistą rozmowę), redaktor wziął mnie poufale pod rękę:

— Ja podobnie czynię. Zaczynam od książek, a kończę na biuście. „Per aspera ad astra“.

— Ta Paniuszka prowadzi dział poezji współczesnej w Wydawnictwie przez duże W — zaznaczyłem chłodno.

Redaktor skrzywił się domyślnie. — Taka idiotka? Pański przyjaciel, pan mistrz Nataniel zwierzył mi się wczoraj w poufnej rozmowie: „Widział pan kiedyś większą idiotkę?“. Niech pan sobie wyobrazi, przez nią nie ukazał się ostatnio tomik mych najlepszych wierszy“ z mistrza Nataniela to prawdziwy filozof. Boki można zrywać, gdy usta otworzy. Lubię go za to. Teraz jest w tarapatkach...

— Nie rozumiem?
— Pan też jesteś w tarapatkach. Eleonora z Kraszewskich zauważyła jak dziś rapo wybiegliście panowie do parku i natychmiast udała się z donosem do milicjanta Tfu, co za wstrętna baba. Oczywiście nikt nie uwierzy, że śledziście malarza Borówkę. Ja wam wietrze, bo ja wiem, że Borówko to wstrętny typ. Czy nie sądzi pan — tu redaktor zbliżył usta do mego ucha — że to nie jest w ogóle malarz? On tylko udaje malarza.

— Niesłychane!
— A tak, tak. Przypadkiem zajrzałem do jego pokoju i zobaczyłem obraz Borówki.

Nie znam się na sztuce, proszę pana, jestem po trosze filozofem. Ale malarstwo Borówki wydało mi się koszmarnie To mistyfikator. Poza tym...

— Poza tym?
— Poza tym w pokoju jego, niech pan sobie wyobrazi, zastałem Panią z Wydawnictwa.

— Niesłychane!
— A tak. Niesłychane. Ona jest jego przyjaciółką, albo może nawet coś potworniejszego. To trzeba zdemaskować.

I redaktor cichutko, niedosłyszalnie oddalił się w swych miękkich pantoflach.

Spójrzałem na zegarek. Do kolacji brakowało jeszcze trzy godziny. Podniosłem się z łóżka, zerknąłem na obraz Borowskiej, na moment zastanowiłem się: „co, u licha, niepokoi mnie w tym obrazie“ i zasiadłem do stołu nad zebranymi przez Pronobisa dokumentami sulewińskiego opactwa.

...za rządów żadnego innego opata poza Willermem, nie było tak wielkiego wzrostu ruchomego i nieruchomego majątku opactwa. To opat Willerm w r. 1224 znalazł nową sposobność do zaokrąglenia majątku. Rycerz Baldarich-Baldrych z powołu ciężkiej potrzeby wynikłej na skutek jego udziału w wyprawach z r. 1222 i 1223, podejmowanych przez książąt polskich przeciw Prusom, zdecydował się sprzedać swą wieś za potrzebną mu ilość pieniędzy („gravi quadem necessitate constructus“). Zapobiegliwy opat wykorzystał trudną sytuację krzyżowca i kupił jego wieś Baldrychów nad Nerem placąc mu za nią sumę 80 grzywien czystego srebra i 5 dearów Erfuckich zwanych szerokimi. Posiadanie tej wsi zabezpieczył opat przeprowadzając starodawny obrzęd picia wody („aquam abrenunciacionis bibisset“).

Radośnie zawołałem: „Eureka“. Oto w dokumentach opactwa po raz pierwszy natrafiłem na nazwisko „Baldarich-Baldrych“, Baldarich-Baldrych, którego legendarnych skarbów poszukiwała Czarna Miłady. Baldarich-Baldrych, przez którego być może zabity został Heraklitus Pronobis.

Zgasilem nocną lampkę, nakryłem się kołdrą aż pod brodę. I wtedy usłyszałem dobiegające z korytarza odgłosy ostrożnych stąpanieć.

Drzwi do pokoju były niezamknięte. Zgrzytnęła kłamtka, ktoś wszedł. Jestem bezbrzoany jak Heraklitus Pronobis — pomyślałem bez trwogi.

Słyszałem szelest, jakby ktoś zdejmował z siebie jakąś odzież.

Może będą mnie dusić ręcznikiem? — pomyślałem jeszcze.

Potem zatrzeszczało łóżko, ciepłe nagie ciało wśliznęło się pod kołdrę, kobiece ramiona objęły moją szyję.

Byłem wciąż jak martwy, co zapewne zaintrygowało tajemniczą istotę o kobiecych kształtach. Ręka dziwnej istoty chwiliwą na ślepo wędrowała po nocnym stoliku, wreszcie palce jej nstrażyły na guzik nocnej lampki. Zabłysło światło. Nade mną pochylała się naga Katarzyna Rokoko, aktorka dramatyczna.

— Ach, pomyłka — szepnęła aksamitnie. Uparcie zastanawiałem się: „gdzie ja cytalem o podobnej scenie? Czy nie u Cervantesa, a może u Scarona?“

Aktorka przyjrzała się starannie mojej twarzy, a potem powiedziała:

— Omyłka. Ale to nic nie szkodzi...

Zaledwie świtało, gdy pani Rokoko zaczęła przeornie opuścić mój pokój. Nieszczęśliwy traf zdarzył, iż równocześnie z nią i Stokrotka otworzyła drzwi od swego pokoju. Rokoko i Stokrotka zetknęły się ze sobą w korytarzu, usłyszałem skape słowa ich powitania.

Rokoko w szlafroku wychodząca nad ranem z pokoju młodego mężczyzny sądził, że było to nawet dla Stokrotki i... lednoznaczne. Świadomy tego smutnego faktu — rozłożyłem się wygodnie w łóżku i natychmiast zasnąłem.

Na obiad w jedyną zjawiłem się starannie wygolony i odświeżony gorącą kąpielą. Na twarz przywołałem wyraz bezczelnej „hojetyności, nie chciałem bowiem, aby ktokolwiek domyślił się, jak bardzo tej nocy przesyłem.

Stokrotka siedziała przy stole sztywno, ze wzrokiem wbitym w obrus. Zdawało się, że to ona przeżywa za mną mój wielki wstyd. Dostreżłem Katarzynę Rokoko piękną, jak nigdy dotąd, ubraną w błękitną sukienkę.

— Jest pani błękitna, jak Orzelska — rzekłem, całując długo dłoń aktorki.

— Bravo! Mój uczeń czyni postępy — oświadczył dumnie mistrz Nataniel.

— Raczek... podstępny mistrzu — rozśmiała się Katarzyna Rokoko.

Malarz Borówko obrzucił ją rozlągnięciem, ale i ponurym okiem.

— Piękne kobiety wchodzi z mody — parsknął wzgardliwie.

— No oczywiście — wtrąciła się pani z Wydawnictwa.

— Piękne kobiety, zdobywali jedynie ludzie z grubszą gotówką.

— A tak, tak, madame — przyświadczył Nataniel. — Piękne kobiety są dla ludzi bez wyobraźni, co podkreślano niejednokrotnie. Byłem zawsze człowiekiem bez wyobraźni — dodał.

Profesor Zann uderzył ręką w stół: — Wybaczyć państwu, ale nie nie rozumiem. W takim razie, po co pisze się tyle o potrzebie piękna?

Nataniel pokazał na mnie palcem:

— Pisanie, to już domena towarzysza Tomaszul.

Wzruszyłem ramionami: — Moją specjalnością jest stara architektura i... korespondencje zagraniczne.

— Ależ to kpiny, proszę państwa! — denerwował się profesor Zann. — Mój przyjaciel fizyk rzekł na pewnym zebraniu: „nie będę budował akcelatora atomowego w kraju, który ręk potrafi wyhodować odpowiedniej ilości zwykłej świni“ i postanowił wraz ze mną skonstruować balon, na którym jak z obłąknego Paryża polecimy obdywać do stratosfery...
— Tatusiu!!! — krzyknęła przestraszona Stokrotka.

— A tak. Przysłał mi tu do Borowa trytomowy podręcznik matematyki. Mam go zrecenzować. Ale go nie zrecenzuję. Tylko zabiorę do balonu i w stratosferze podrę! podrę! na drobniutkie molekuły.

Nataniel łagodził gniew profesora Zanna: — Nie na tym polega główne zło, że nie umiemy wyhodować odpowiedniej ilości zwykłej świni. Lecz na tym, że nie potrafimy tego uzasadnić w sposób naukowy. Świadczy to, że nasza nauka nie nadąża za potrzebami życia.

— Tra ta ta, proszę państwa, dziś w nocy spadnie śnieg — powiedział uspokojony profesor, czym zdecydowanie zmroził tak pogodną atmosferę obiadu. Wszyscy bowiem pomysłeliśmy „czyżby profesor wróżył nową kradzież?“. I przypomnienie, że ktoś z nas jest złodziejem spadło na nas jak brzemień.

— „Panta rei“, jak mówił Heraklitus Pronobis...
— Heraklit z Efezu — natychmiast sprostępował mnie Grzegorzczak.

— Ooooo — sęknał jak kobra „Kostek“, tłumacz beletrystyki. — Jeśli by zawierzył Freudowi, w pańskiej podświadomości, Tomaszul, tkwi myśl o niejakim Pronobisie, potężnym zbieraczu ekslibrisów. Czyżby pan z nim sympatyzował?

— Precz z eklibristami! Niech żyją ekwilibryści! — krzyknąłem ochotczo, choć nieszczerze.

— A jednak na podstawie teorii Freuda, można by pana posądzić o sympatię dla Herakliusa Pronobisa — upierał się „Kostek“.

Mistrz Nataniel odczuwał się gniewnie: — Drogi panie. Kto jest bardziej godny zaufania: dobry marksista Tomasz czy Siegmund Freud, o którym „Krótki słownik filozoficzny“ donosi, że obecnie jego teoria pozostaje w służbie imperializmu?

Wsunąłem rękę pod stół i natrąfiwszy na dłoń Nataniela, uściskałem go bardzo serdecznie. Nie, nie wolno mi się na niego gniewać. Oto prawdziwy i szczerzy przyjaciel.

— Pańska poezja, mistrzu, o ile wiem, również płynie z podświadomości — powiedziała uczenie Paniuszka z Wydawnictwa.

— No tak — zgodził się Nataniel. — Ale czy pani zdaje sobie sprawę, iż ta sama podświadomość może w różnych warunkach posiadać różną treść klasową?

Po obiedzie doktor W, zaproponował nam bardzo serdecznie:

— Proszę państwa, zgodnie ze staropolską tradycją czwartkowych obiadów (a dziś mamy czwartek) zapraszam wszystkich do biblioteki, gdzie przy rozpalonym kominku zostanie za chwilę podana czarna kawa i będziemy mogli mówić o literaturze.

Zaklaskaliśmy w dłonie na znak całkowitej zgody. (d.c.n.)

TYM RAZEM PRAWIE W O-CZACH BOROWSKIEGO TOWARZYSTWA NASTĘPUJE NOWA KRADZIEŻ.

CZYTAJCIE O TYM W PRZYSZŁYM NUMERZE.

KONKURS

Zgodnie z zapowiedzią podajemy prawidłowe rozwiązanie tego konkursu. W „Ogrodzie miłości“ znaleźli się: 1. Adam i Ewa, 2. Hamlet i Ofelia, 3. Cezar i Kleopatra, 4. Henryk VIII z żoną, 5. Anna Karenina i Wroński, 6. Otello i Desdemona, 7. Napoleon i p. Walewska, 8. Edward VIII i p. Simpson, 9. Leonardo da Vinci i Mona Lisa, 10. Sobieski i Marysińska, 11. Winićjusz i Ligia, 12. Leda z łabędziami.

Kto wpisał na kupon konkursowy, wysłany bądź złożony do Redakcji, przynajmniej 9 z wyżej wymienionych par będzie pretendował do jednej z następujących nagród:

I. Radio „Szarotka“, II. „Dziela wybrane“ Reymonta (12 tomów), III. „Dziela“ Londona (10 tomów), IV. „Pisma wybrane“ Bałuckiego (10 tomów). Wyniki losowania nagród podamy w nr 15.

CO SĄDZA CZYTELNICZY O „ODGŁOSACH“?

W dniu 16 bm. odbyło się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki spotkanie naszego Zespołu z Czytelnikami. Fragmenty dyskusji na tym spotkaniu zamieścimy w najbliższym numerze „Odgłosów“.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska-96. Tel. 244-79
Redakcja nie zamawia kopii rękopisów nie zwraca
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.- zł, kwartalnie 12.- zł
Prenumerata przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch“ — Łódź, ul. Roc.ewella 17. Korb. PKO — Łódź 7 — 6-572
z oznaczeniem na „Odgłosy“
Druk: RSW „Prasa“ — Łódź, Zwirki 17, Z. 1600. V. 58. M-1.

Miślanka

FILMOWA

A jednak się kręci

Nowy film Claude Autant-Lara oparty na opowiadaniu Dostojewskiego „Gracz” miał być nakręcony w Polsce. Ale z kooperacji wyszły nic. I film powstaje w Paryżu. Może to i lepiej (oczywiście dla filmu, a nie dla wielbicieli Gerarda Philipe'a).

— Przypuszczam — mówi Autant-Lara, że mój przyszły film będzie bardziej w duchu Stendhala niż Dostojewskiego. Scenarzyści położyli główny nacisk na powikłania uczuciowe bohaterów i na postać starej ciotki na której spadek wszyscy czekają.

W rolach głównych wystąpią: Gerard Philipe, Francoise Rosay, Bernard Blier i Liselotte Putver.

Sylwetki MŁODZYCH TWORCÓW



Dzisiaj przedstawiamy po dwakroć już zapowiadane go reżysera i aktora, Romana Polańskiego. Jak już pisaliśmy, jest on autorem filmu eksperymentalnego, nagrodzonego na Festiwalu Filmów Eksperymentalnych w Brukseli. „Dwaj ludzie z szafą”, to drugi film p. Polańskiego, po „Rozbijemy zabawę”, krótkometrażowej etiudzie szkolnej.

W „Dwóch ludziach z szafą”, w jednym z epizodów pojawia się sam reżyser, jak gdyby dla przypomnienia, jest także aktorem. Oto tytuły filmów w których występował: „Trzy opowieści”, „Pokolenie”, „Zaczarowany rower”, „Trzy starty”, „Wraki”, „Pokolenie” i in. Karierę aktorską rozpoczął w Teatrze (Teatr Młodego Wiedza, Kraków). Obecnie reż. Polański realizuje film pt. „Babcia”.

W kinie

Tańczymy wśród gwiazd

Jeszcze jeden film rewolwy, tym razem produkcji austriackiej, Ernst Marischka ekspluataje temat równie „atrakcyjny” jak kabaret „Moulin Rouge” — kulisy opery wiedeńskiej.

Nie będę pisał o niedociągnięciach kompozycyjnych, ani o zresztą „dobrych” — wstawkach baletowych — bo wcale nie rozstrzygają one o wartości filmu.

Interesujący natomiast jest stosunek większości krytyków do filmu, a w ogóle — do filmów tego rodzaju. Dziwne, że pewna porcja, nawet niewybrednego humoru, potrafi zabłogosławić tytuł ludzi, jeżeli ukazuje się w miarę zgrabny, w miarę bzdurny film (jak to się zwykło mówił „bezpretensjonalny”) utrzymany w tonacji poważnej — nazywa się go kłosem. Ale już taki sam film, wygrywający sytuację humorystyczną, zyskuje sobie opinię dobrego, drugorzędnego.

Przyznaję, że śmiałem się na projekcji razem ze wszystkimi, ale coś z tego, kiedy czułem się właśnie z tego powodu w roli owego popularnego człowieka konającego ze śmiechu na widok sera czy kiwania palcem.

ZAK.

UWAGA: FELLINI GRYWA NIE FAIR!



Widzieliśmy dotąd dwa filmy Felliniego. Pierwszym była „La Strada”, po niej oglądaliśmy „Niebieskiego ptaka”. Teraz na ekrany wszedł trzeci film tego reżysera, „Noce Cabirii”. Jest to pozycja równie rewelacyjna, jak „La Strada” utrzymana w podobnej tamtemu filmowi konwencji. Ale w przeciwieństwie do „La Strady” — „Noce Cabirii” są filmem nierównym stylistycznie, cliche, efekciarskie i pretensjonalne. Znajdujemy w „Noce Cabirii” sceny wręcz znakomite, przemysłane do ostatka, zaskakujące. Dzięki tym scenom (final filmu, dobór scenerii) i Massinie — „Noce Cabirii” wzruszają. Gdyby jednak pozbawić ten film jego zewnętrznego bliznoty, natwój baśniowości i pseudo-poezji, wówczas pozostałoby żebym literaturą a la Helena Mniszek.

Fellini jest niewątpliwym wydarzeniem w dziejach kina. Umiał wyciągnąć własne i oryginalne wnioski zarówno z Chaplina jak i neorealizmu. Każdy z jego filmów jest zjawiskiem artystycznym wartym dokładnego analizowania. Ale zjawiska te, gdy się będą powtarzać — mogą się stać nieznośne. Fellini, nadużywając łatwego sentymentalizmu gra cokolwiek nie fair.

WIDZ 77*

* Ponieważ jak się okazuje wygodny pseudonim „Widz” grzeszy popularnością i bywa nadużywany, opatruję go znakiem cyfrowym.



JEAN GABIN

(Rys. Ibis-Gratkowski)

B. B. i byki

Brigitte Bardot przybyła wreszcie do Sewilli, gdzie bawi ekipa realizatorska nowego filmu Julien Duviviera pt. „Kobieta i marionetka (La femme et le pantin)”. B. B. jest bardzo zmęczona przygotowaniem swej roli w tym filmie. Przez kilka tygodni musiała brać lekcje jazdy konnej, a zażany tancerz cygański uczył ją tańców hiszpańskich. Przystojny ów cygan wyraził podobno ogromny podziw dla tancerzki i umiejętności B. B. Akcja filmu Duviviera toczy się podczas festiwalu hiszpańskiej i reżyser ma zamiar wykorzystać autentyczną „flestę w Sewilli. Reszta zdjęć zostanie nakręcona w posiadłościach słynnego torreadora Balmonte, który udostępnił filmowcom teren swej wielkiej hodowli byków. A więc — egzotyka, znana jedynie z technicznych kanonów Sewilli, walka byków i Brigitte — tancząca namiętne flamenco.

SKAT



Dokończenie

Sprawa do załatwienia

Kiedy N. jest asystentem przy pierwszym filmie — opowiada jeszcze w kawiarni anegdota (... ty, wiesz — On nie wie co to „kierunki”, a aktorom mówi „niech pan to jakoś zrobi”). Potem N. — zajęty drobiazgami, albo awansem (dyryguje „drugim planem”, czyli pogania statystów 3 km od kamery) przestaje dostrzegać i „lapie styl”. Wyniki nie każą na siebie długo czekać: — debiuty są zrutyinizowane i... świadczą jako argument przeciw debiutom. Potem mówi się (przed tygodniem wspomniałem pewną rozmowę; tam także), że debiut to wielkie ryzyko. Iles tam razy większe — niż dani doświadczonemu realizatorowi, który chociaż nie orzeł, „ale zawsze zrobi poprawnie”. Tymczasem jestem przekonany, że nie ma większego ryzyka — niż powierzenie nowego scenariusza reżyserowi, który już z filmów poprawnie popsuł. A debiuty — to nie tylko ryzyko. Do znużenia trzeba powtarzać szlachetny truizm, że debiuty to jedyna szansa kinematografii. Trzeba powtarzać, bo nie wszyscy znają to jeszcze na pamięć.

Ale debiut nie może być — jak teraz — kwestią przypadku, ani wynikiem tzw. w gwarze „chodów”. Trzeba obmyśleć metodę:

1) asystentury, żeby nie była dłuższa niż potrzeba; i co

Bunuel znowu straszy

Na „Jutrzenkę”, film Luisa Bunuela — nasza kochana widownia wali drzwiami i oknami, jak gdyby był to obraz sensacyjny, podszyty erotyzmem i bozia wie — czym jeszcze na dodatek. Tymczasem elementy sensacyjno-erotyczne nie przerastają w filmie Bunuela ponad przyjęte na ogół granice. Dlatego rzecz wydaje się co najmniej zastanawiająca i prowokuje niniejsze uwagi.

O „Jutrzenkę” pokutuje dwójakie przekonanie: Pierwsze, że jest to szmira absolutna, czyli film wyprany z wszelkich wartości natury artystycznej, film obliczony jedynie na zaspokojenie wymagań i apetytów przeciętnego widza. Natomiast druga opinia, stwarza, w ustach swoich rzeczowników — obraz wręcz przeciwny. „Jutrzenka” jest według tej oceny filmem wprowadzie niezbyt ambitnym literacko, ale zrobionym nienagannie — jeśli ma się na uwadze kwestie warsztatowe, czyli sposób, w jaki Bunuel kształtuje tworzywo swojego filmu.

Zarówno pierwsza opinia, jak i druga — są chyba w

równej mierze błędne. Bo prawdę o tym filmie znaleźć można, gdy wyprowadzi się między nimi coś na kształt i podobieństwo kompromisu. I byłoby to nader łatwy sposób pisania recenzji, okazja wyjątkowo wdzięczna, gdyby nie pewna, a charakterystyczna w tym wypadku trudność. Wywód należy podprzeć argumentami.

„Jutrzenka” jest filmem łatwym, operuje uproszczoną do maksimum anegdotą. „Jutrzenka” jest także filmem arcyważnym, pełnym deklaracyjności i nazwijmy to delikatnie — zbyt niewybrednie różnicowanych postaci. Bohaterowie „Jutrzenki” dzielą się na charaktery czarne, szare i białe. Zupełnie jak w schematycznej powieści z płodnych lat naszego „socrealizmu”.

Czarny charakter numer 1 — to posiadacz zakładów i ogrodu, przekładnie zresztą ukarany przez autorów filmu. Czarnym charakterem jest także jego sekretarz. Obie postaci są odróżniające dosyć przekonująco dzieć sugestywnym kreacjom aktorskim i zręczności twórców polskiej wersji (dubbing!). Wyjątkowo czarnym charakterem jest także

komisarz policji (sadyści) i starzec — gwałciec nieletnich. W pewnej mierze, czarnym charakterem jest potem i teść doktora Valerio. Natomiast córka teścia doktora Valerio, czyli żona doktora, to już charakter szary, przeciętny, nijaki, klasyczny okaz cierpiętnictwa, wzbudzającego politowanie. Ona właśnie odchodzi przy boku ojca — niespodziewanie, bez walki, acz kocha małżonka i chociaż nie wie o miłostkach lekarza, które uprawiał on podczas jej wojaży do Nicei. Nie jest to jednak wią sympatycznej ładnej aktorki (Nelly Borgeat), tylko autorów scenariusza, Luisa Bunuela i Jeana Ferry'ego.

Dalej następuje korowód postaci białych, zupełnie szlachetnych. A więc przede wszystkim nieszczytny ogrodnik — wdowiec — morderca, rola nieomal wymyślona dla swojego odtwórcy, Gianrico Esposito. (W „French Cancanie” grał księcia, zawsze nieszczęśliwy!). Potem żona ogrodnika zabójcy, później jego przyjaciel no i wreszcie sam doktor Valerio (Georges Marchal), główna osoba dramatu. I tylko tajemnicza wdowa, kochanka doktora (Lucia Bose), do końca filmu zachowuje absolutną dyskrecję i właściwie to nie bardzo wiadomo

czy jest czarna, szara czy biała. Oczywiście jako charakter. Bo na codzień jest wyjątkowo przystojną brunetką, którą z charakterystycznym wdziękiem narysował w 11 numerze „Odgłosów” Ibis-Gratkowski. Pamiętajcie!

W sumie powyższych uwag znajdzie się więc nieunikniona konkluzja, że w żaden sposób pojąć nie można, jak z tego materiału udało się Bunuelowi cokolwiek nie wie o miłostkach lekarza, które uprawiał on podczas jej wojaży do Nicei. Nie jest to jednak wią sympatycznej ładnej aktorki (Nelly Borgeat), tylko autorów scenariusza, Luisa Bunuela i Jeana Ferry'ego.

METODY



SCENA Z FILMU LUISA BUNUELA PT. „JUTRZENKA”.

FELIKS DRENER